



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEI

ROK 1924. WARSZAWA, 20 WRZEŚNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr

TREŚĆ NUMERU:

Śmiech jako źródło mocy—Zofia Szmytowa. Skromny przyczynek w poważnej sprawie—Stanisława Kuszelewska-Matuszewska. Stary Sącz (c. d.)—N. Samotyhowa. Fotografie z podróży—K. F. B. Wiersze—M. J. Wielopolska. Sentymalna nowelka (dok.)—Grazia Deledda (przekł. P. D.). Drogami duszy (powieść) c. d. — Helena Ceysligerówna. Staruszka z kinematografu—Vicente Blasco Ibanez (przekł. z hiszp. r. c.). Emil Verhaeren (dokończenie)—Marja Grossek-Korycka. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.) — K. Bielańska. Cel i zadania pedagogji (c. d.) — Emilia Tecka. Z martyrologji pałacu Staszica—Garnston. Wspomnienia i refleksje—C. W. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—J. F. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. W sprawie wyższych kursów dla kobiet im. Baranieckiego—P. Z teatrów—p. a. Wskazówki praktyczne — Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

ŚMIECH JAKO ŹRÓDŁO MOCY

A kto się w nieszczęściu śmieje,
Jabych tak rzekł, że szaleje.

(J. Kochanowski.)

Słowa mądre; któż im zaprzeczy?
Śmiać się nie może przecież człowiek
smutny. I Bergson i Lipps i inni ucze-
ni zgodzili się na to bez sporu.

A jednak bronić będziemy tezy,
pozornie przeciwnej. Pozornie tylko.
Kłoniemy głowę przed bólem nieule-
czalnym, bezradni wobec jego prze-
mocy, nie mniej usilnie przeto szuka-
my lekarstwa na cierpienia, którym
zaradzić można.

Śmiech jest nieocenionym towa-
rzyszem życia i pracy. Że wyzwala
energję — wiemy o tem z doświad-
czeń codziennych. Że uwalnia od po-
szęptów złego—to także pewne. Dzie-
ło, które budzi szczerą wesołość, nie
może gorszyć—mawiają znawcy sztuki.

Można ujarzmić zgryzotę, odchod-
ząc od siebie, gubiąc się w pracy;

ale jeszcze skuteczniej i pewniej, czy-
niać ze smutków swych rzecz wesołą,
zabawną. Śmiech wśród istotnych prze-
ciwieństw—to objaw wolnego ducha,
to dowód wiary w siły własne, to po-
czątek zwycięstwa.

Człowiek, śmiejący się z trosk
swych i kłopotów, nie potrzebuje po-
mocy ani pociechy cudzej. Jest nieza-
leżny. A kto z siebie rozśmiać się
umie — staje się wolny od ataków
próżności czy pychy.

Śmiech zagradza drogę bezkry-
tycznemu uwielbieniu siebie i innych,
wyzwala umysł i uczucie ze zmiennej
kolei przygniatających nastrojów. Ta-
ka lotna, beztroska wesołość przy-
chodzi do jednych sama, inni ją mo-
gą posiąść, ćwicząc się w chwytności
zabawnych, weselących objawów ży-
cia. — Śmiech trzeźwiący, chłodny
osłabia ból, zanim ten zdąży objąć
władzę nad człowiekiem, lub zgoła

przepędza troski, zostawiając poczu-
cie zwycięstwa i mocy.

Niema tu miejsca na patos. Jest
tak, jakby człowiek grał w karty z lo-
sem. Wygra, czy przegra — będzie jed-
nako rad. Jakby mu duma nie pozwa-
lała żałować tego, co się musiało stać
nieodwołalnie, ani lękając, czego zdo-
być nie może.

Dobrze, wesoło — mimo wszyst-
ko. Zawsze jest się czego uczepić; w
każdem zmartwieniu tkwi ziarenko
śmiechu.

Precz mino grobową! Wchodzi-
w świat triumfującej wesołości, w ży-
cie starego Burgundczyka, nazwiskiem
Colas Breugnon, z którego talent Rol-
landa uczynił postać symboliczną. *)

*) Romain Rolland, Colas Breugnon
powieść, wyd. II, z upoważnienia autora prze-
łożył F. Mirandola, Lwów, Poznań, 1923, na-
kładem Wydawnictwa Polskiego.

Mimo rubaszości i nalotu oby-
czajów prowincji jest to godny przed-
stawiciel galickiego dowcipu — czy-
stej krwi Francuz.

Pisze pamiętnik. Dużo o tem,
jak się bawił, wałęsał po świecie, jak
pił i jadł. A obok tego króciutko, mi-
mochodem, nawiasowo o swoich nie-
zliczonych pracach artystycznych:
o ukochanych rzeźbach.

Przyjmijmy ostrzeżenie jego cór-
ki: „Udajesz (papo) lekkoducha, roz-
rzutnika, wartogłowa... a rozchorował-
byś się, gdyby cały dzień, godzina po
godzinie nie był najskrupulatniej ure-
gulowany“. A papa przyciśnięty do
muru wyznaje w rozmowie z samym
sobą: „Podobnie jak wszyscy Francu-
zi tak dobrze jesteś osadzony na kot-
wicy rozsądku, że możesz sobie po-
zwolić udawać warjata“.

Wielbiciel wina, smakosz, miłu-
jący naturę, życzliwy ludziom, pobła-
żliwy i wybaczący, nieraz się zach-
nie na wojny religijne, w których jed-
nako obie strony karci: „zostawcie
Stworzyciela w spokoju, smarkacze!“
A po cichu, u siebie, gdy nikt nie
słyszy, wątpi we wszelką wiedzę o za-
światach. Jest dzieckiem narodu, któ-
ry wydał Woltera. Ale ta strona kwestji
nas nie obchodzi.

W chwilach walki śmiertelnej
Breugnon zachowuje przytomność,
dowcip i wesołość. Panuje. Nie pod-
daje się panice ani emocji niebezpie-
czeństwa; bawi się, kpi, dowcipkuje.

Ale nie jest bez serca. Przeciwnie.
Ma dobre, czułe, szlachetne serce.

Mówią mu o śmierci żony — se-
kutnicy: „Śpieszno jej, majstrze, do
Pana Boga!“ „Nie zazdroścę mu tej
wizyty! — powiedziałem żartobliwie...
Ale nagle wino wydało mi się jakieś
gorzkie. Nie mogłem dokończyć szklan-
ki“. — Ile w tem dyskrecji, jak subtel-
nie zamaskowany ból!

Ogląda Breugnon swoje stracone
szczęście. Minęło się z nim w dro-
dze. Patrzy w smutne oczy ukochanej
niegdyś kobiety; chcąc ją i siebie
pocieszyć, dowcipkuje, chwali życie
za wszystko, co im przyniosło.

Serdeczną tęsknotę za szczęściem
straconem bezpowrotnie zwycięża
szybko; wraca mu znowu energia
i równowaga.

Breugnon i czyni heroiczne speł-
nia z zwykłym sobie humorem, po
prostu, jak coś zupełnie naturalnego.

Wśród straszliwego pożaru ratuje ko-
legę. Oto opis tej sceny: „Odsuwam
tedy gapiów, przesadzam zaporę i stą-
pając po głowach (gryzli mnie w no-
gi), idę przez miazgę ciał ludzkich,
z której się już kurzyło ku Garubie-
mu... ci, którzy pchali się z tyłu, pod-
trzymywali go w powietrzu tak, że
był jako pestka, wyduszona ze śliwki,
Kopiąc obcasami w prawo i lewo,
zdołałem wyłuskać go do końca.
A był już czas najwyższy“.

O zasłudze własnej, o narażeniu
życia swego—ani słowa. Żadnej pre-
tensji do wdzięczności ludzkiej.

Dużo kosztuje Breugnona walka
i jej okrucieństwa. Gdy dla dobra
miasta osacza bandytów i skazuje ich
na śmierć w płomieniach, powiada
z goryczą: „Kanalja ludzka ukazała
się w całej nagości“... Szuka uciecz-
ki przed niesmakiem i znajduje ją w
pracy. „Praca — pisze — niby gąbka
wypija poczucie wstydu i wyrzuty su-
mienia, przy pracy dusza okrywa się
nową skórą i wzbiera krwią świeżą“.
Ta właśnie praca twórcza, wyzwala-
jąca była żywiołem Burgundczyka,
dzięki niej zasługiwał sobie na hart
w ogniowych próbach życia i na wy-
wczasy, w których śmiało się do nie-
go wszystko.

W strasznych cierpieniach wijąc
się z bólu wybucha raz po raz nie-
pohamowanym śmiechem, bo oczy
jego padły na książkę Boucheta i od-
nalazły w niej „historyjkę tak nie-
słychaną, tak pulchną, tłustą, pieprz-
ną, szelmowską“, że nie mógł poha-
mować wesołości.

Nadewszystko w świecie ukochał
Breugnon sztukę. A los każe mu pa-
trzeć na własne rzeźby, porąbane w
w bestjalski sposób przez ich naby-
wcę, zwyrodniałego magnata. Artysta
wpada w rozpacz: „Jęczałem, płaka-
łem, biłem czołem o ściany“—mówi.
Ale skłonność natury, ratującej się
śmiechem, zwycięża. I modli się stary
Burgundczyk, opanowując już swoje
nieszczęście: „Mocny Boże, wysłuchaj
mnie i udziel tej łaski (być może
prośba ma wyda ci się zresztą zby-
teczną), bym po śmierci nie poszedł
do raju, ale do piekieł i stanął u pie-
ca, w którym Lucyfer smaży dusze
potępieńców; a to w celu obracania
z pieczołowitością wielką własnoręcz-
nie różna, na który nabyty będzie
morderca dzieci moich“!

Ostrze bólu osłabił dowcip. Przy-
chodzi spokojne, poważne wyznanie

wiary: „Człowiek jest niczem, dzieło
jego jest świętością. Podwójny to
morderca, kto niweczy ideję“.

Breugnon ratuje się nieraz żar-
tem, jak bronią niezawodną przed
ludzką zawiścią. Kiedy młynarz, Jajot
ubolewa nad jego spalonym warszta-
tem, artysta myśli: „Już po mnie!
Dobili mnie“. Zaraz dodaje: „Ale nie
powiedziałem nic staremu młynarzo-
wi... Już to taka bestja z najporząd-
niejszego człowieka, że rad patrzeć
na niedolę bliźniego, choćby po to, by
go pocieszać. Odparłem: „Szkoda, że
nie zaczekali do św. Jana z tą piękną
sobótką“!

Gdy Breugnon wraca do rodzin-
nego miasta, wita go uczeń poranio-
ny, bo ratował rzeźby swego mistrza
w czasie pożaru. Mówi o śmierci dru-
giego czeladnika, „umarł ze zmartwie-
nia“. Wtedy stary facecjonista daje
się porwać wzruszeniu. „Ukląkłem na
gościńcu, ucałowałem ziemię i powie-
działem: Dziękuję ci, chłopczel... Oto
najcudniejsze z dzieł moich... wyrzeź-
biłem te dusze. Nic mi ich nie zabie-
rze. Niech płonie drzewo... one moje“!

Widok tchórzliwych mieszczan
wraca mu zwykły dowcip i zwykłą
bystrość obserwacji. Gdy go witają
jak powstałego z grobu nieboszczyka,
odpowiada: „Jestem w komplecie...
Może weźmiecie okulary... jutro będzie
wam wygodniej przy słońcu“.

Breugnon jest człowiekiem pracy
radosnej i twórczej. Mówi o niej
zrzadka, bo gawędzi z nami nie w
pracowni, ale gdy zamknął warsztat
na klucz i idzie przed siebie, gdzie
oczy poniosą. Idzie pić radość ze
wszystkich źródeł życia. Głowę ma
wolną; oczy cieszą się każdym wido-
kiem. Potem znów nowy trud podej-
mie, i znowu mu natura zapłaci słod-
kim wywczasem.

Humor uwalnia go od rozpaczy,
zgrzyoty. Chwile radosnego próżno-
wania przynoszą zasiłek i wzmoczenie
energji twórczej, otwierają coraz no-
we możliwości, nowe perspektywy.

Idzie Breugnon przez życie bez pa-
tosu i samouwielbienia, tworząc dzieła
nieśmiertelne, odpoczywając po dro-
dze i śmiejąc się zwycięsko z niesta-
łości Fortuny...

Czytelnik zamyka książkę z wdzię-
cznością dla jej autora, szczerą po-
dzięką darząc jej tłumacza.

SKROMNY PRZYCZYNEK W POWAŻNEJ SPRAWIE

W dalszym ciągu dyskusji nad artykułem pani Zofji Zawisza, drukowanym w 28 Nr. *Bluszczu* p. t. „Czy rolnictwo jest fachem szczególnie odpowiednim dla kobiet“, umieszczamy uwagi p. Stanisławy Kuszelewskiej - Matuszewskiej.

(Przyp. Red.).

Pragnę dodać słów parę do artykułu p. Zofji Zawiszanki na temat pracy kobiet w rolnictwie.

Popieram wszystkie argumenty, dowodzące, iż samodzielne zarządzanie całością większego gospodarstwa wiejskiego nie jest dla kobiety odpowiednie. Tak. Być może. Kobieta nie potrafi zapewne spełniać każdej czynności dnia z myślą o natychmiastowym zysku materialnym. Nie potrafi może dać sobie rady z niesfornym, leniwym i aroganckim robotnikiem dzisiejszym. Dlatego tylko, że jest on niesforny, leniwy i arogancki. A może potrafi. Może znajdują się wyjątki tak energiczne i mało nerwowe, tak zdrowe i tak spokojne, że nie ulęką się chmurnych twarzy ludzi, którzy zawsze uważać się będą za pokrzywdzonych (którzy zresztą—kto wie, czy nie są pokrzywdzeni naprawdę?) może znajdują się wyjątki, których kobieca skrętność i zapobiegliwość poszuka właśnie zadowolenia w całodziennym liczeniu dochodów i strat?

Zdaje mi się jednak, że przytoczyć potrafię dwa argumenty silniejsze i podeprzeć nimi mocniej konstrukcję myślową p. Zawiszy.

Kobieta nie może być szczęśliwa i zadowolona, zarządzając większym majątkiem ziemskim ponad 100 morgów. Nie może nie utracić równowagi nerwowej. Nie może nie zatruć swej kobiecości. Nie może nie okaleczyć swej duszy.

Dlaczego?

Dlatego, że praca ta stawia ją ciągle i nieustannie w konflikt z własnym sumieniem. Wzbudza rozdwojenie uczuć, rozterkę poglądów, dręczący chaos, w którym zwolna zatracą prawdy, zdobyte nieraz wieloletnią walką duszy.

O cóż chodzi?

Chodzi o to, że kobieta, właścicielka lub zarządzająca majątkiem ziemskim, nie jest w stanie ustosunkować się do robotnika rolnego lub chłopa-sąsiada w ten sposób, żeby współżycie było znośne.

Jeszcze raz zapytam: dlaczego?

Dlatego, że w istocie kobiecości leży wrodzony i odziedziczony kult poświęcenia. Światopogląd oparty na poświęceniu dyktuje kobiecie fizjologja, pedagogja, religja nawet. Jeszcze gorzej, jeśli dana kobieta, szlachcianka z pochodzenia i typu kultury w sobie cześć (nieraz nieświadomą) dla tych tam ongiś przodków, co za któregoś króla jegomości dostali herb na polu bitwy, gdyż poświęcili życie dla... — dla czegoż? — dla hasła, dla abstrakcji, dla honoru, dla idei. Najgorzej zaś jeśli kobieta jest inteligentką (tu przypomina mi się bon-mot jednego z moich uniwersyteckich kolegów — rolników: „Ach, pani pochodzi z ziemiaństwa?... Jaka szkoda, że nie z inteligencji!...“ (Najgorzej więc jeśli kobieta „pochodzi z inteligencji“, to jest zaszła już na te wyżyny kultury intelektu i charakteru, gdzie zapomina się o herbie praojców — lub o jego braku — i od własnego życia wymaga się zasług je usprawiedliwiających. Inteligentka, karmiona w szkołach najprzedniejszymi owocami ducha ludzkości, czci już nie tylko jakąś szlachetność jednostkową — lecz uwielbia wielkoduszność ofiarność i poświęcenie Wielkich spośród ludzkości.

Kobieta jako taka — żyje poświęceniem i poświęcenie uwielbia. Im wyższą jest ich kultura, tem bardziej bezinteresowny, odważny, zbyteczny nieraz nawet szalony będzie typ poświęcenia, który ukocha najmocniej. Beztraska szlachetność głupiego Don-Kichota, biały pióropusz brzydkiego Cyrana, — oto co po wiek wieków czarować będzie kobiecość.

Zamknijcie ją teraz w kręgu ludzi, dla których ideałem jest to, co słowami wyrazić się może nie da, ale co niewątpliwie jest kontrastem wszelkiego poświęcenia. Owo „coś“ myśli zawsze i jedynie: „co mi z tego przyjdzie?“ Postanawia niezmiennie: „nie chcę, bo nic mi z tego“. Rozumuje niezachwianie: „a pocóż mi to tam?“ Wie napewno: „ten lepszy, kto da więcej“.

Nie wiem, czy wolicie nazwać to rozsądkiem, czy wyrachowaniem, czy umiejętnością dbania o własne sprawy. Każdy nazwie to, jak zechce. Ja chcę to nazwać specyficzną tępotą chłopską (pardon, może zbyt urazi to czyjeś demokratyczne uszy, obawiam się, że jeszcze bardzo niedawno uraziłoby moje własne... Powiedzmy więc raczej: tępotą drobnego właściciela ziemskiego i robotnika rolnego) chronicznym nieistnieniem duchowego życia, ślepym jak stary koń materializmem, który kuszyka

nieustannie między dwoma tylko zagadnieniami istnienia, niby między nieuchronną Scyllą a Charybdą: „czy więcej pociągnę, jeśli pociągnę odrazu, czy więcej, jeśli wstrzymam się teraz, a pociągnę potem?“

Każcie teraz kobiecie (kobiecej kobiecie, bo są różne) uprawiać ziemię rękami tych ludzi! Jej kobiecość polega na kulcie poświęcenia. Ich chłopskość polega na drwieniu z poświęceń. Tam gdzie ona powie „bohater“, — oni „głupiec“. Gdzie ona się wzruszy — oni spluną.

Ale właściwie — powie ktoś — co to im szkodzi wzajemnie? Czy różnica poglądów na poświęcenie może komuś uniemożliwiać współżycie?

Może. Dlatego że niestety ta właśnie „drobna“ różnica odbija się na każdym uczynku dnia codziennego, dnia pracy na roli. Uczynku do którego z jednej strony podejdzie kobieta — z drugiej ten, co uprawia jej pole, buduje budynki, karmi inwentarz.

Naprzykład:

Podpisuję w najlepszej wierze umowę z cieślą, budować ma stajnię dla moich koni. Targuję się, namyślam, ważę. On nie namyśla się wcale? Podpisuje krzyżykiem, nawet nie patrząc, bo i jak. Czemu? Bo zacznie myśleć dopiero w pięć minut po podpisaniu. A o czym? O tem jak umowy nie dotrzymać. Ja zaś ze wszystkich sił, z narażeniem własnego zdrowia, a zawsze spokoju lub wygody będę pracowała, żeby na dzień umówiony dostarczyć budulcu, pomieszczeń, strawy, pieniędzy. Nieraz przepłacę dostawcę, zgonię konie, narażę na straty. — On zaś poco miałby poświęcać siły swoje lub starania? Dla danego słowa? Dla podpisanego kontraktu? Nie, on woli wyciągnąć odrazu dwie korzyści: jedną z podpisania umowy (n. p. zadatek) drugą z jej niedotrzymania. (Np. równoczesny kontrakt z majątkiem sąsiednim).

Tak więc ten, kto poświęca widoki materialne dla dotrzymania słowa, dla zasady, dla honoru, dla uczciwości — straci w grze z takim, który zawsze robi to, co opłaca się lepiej. A że gra ciągle z takim właśnie przeciwnikiem (w potocznej mowie nazwa się to pomocnikiem) — więc ciągle traci. A jeśli ciągle traci, to majątek źle na tem wychodzi.

Quod erat demonstrandum: majątek źle wychodzi na gospodarce kobiecie.

— Przepraszam — zarzucicie mi z pewnością — czyż to ma znaczyć, że męczyzna, na którego gospodarce

dobrze wychodzi majątek, wtóruje swemu cieśli w niedotrzymaniu umowy?

Bynajmniej. Napewno będzie chciał dotrzymać umowy. Ale napewno nie będzie „zabijać się” o każdy drobiazg, jeśli to dotrzymanie będzie zbyt trudne. Pewne w niem niedokładności dosztukuje autorytetem swej siły. Jeśli na czas nie dostarczy desek, to powie stolarzowi: „poczekacie”. I stolarz poczeka. Kobieta zaś dostarczyć musi, bo jeśli spróbuje powiedzieć: „no jakże, poczekacie?...” — to stolarz nie poczeka i będzie musiała szukać nowego, a przejmie się tym i zdenerwuje więcej, niż mężczyzna dziesięciokrotnie większym kłopotem.

Kobiecie brak autorytetu siły, powagi, groźby. Dlatego pozostaje jej tylko: „być ze wszystkimi w porządku”. A to daje rezultaty jedynie w stosunkach z kulturalnymi ludźmi, (nader którzy rzadko zbłąkają się między cieśli i fernali).

Majątek więc przeważnie traci na gospodarce kobiecej. (Zdarzają się wyjątki, ale „jedna jaskółka wiosny nie czyni”),

Czy traci też kobieta?

Traci, mojem zdaniem, więcej, niż traci majątek. Traci zdrowie nerwów, wiarę w ludzi i co gorzej wiarę w słusność prostej drogi. Traci — najważniejszy element kobiecości: Kult bezinteresownego poświęcenia. Traci pozatem jeszcze jedną z często posiadanych zalet: tak zwaną „wiarę w lud”, czyli poprostu w braterstwo ludzi. Przestaje być demokratką. Typ entuzjastycznej nauczycielki ludowej staje się dla „pani ze dworu” typem „charakterystycznym” do komedji. Drwi teraz z własnych ideałów młodości.

Tyle o wzajemnych wielorakich stratach majątku i jego pani. Tyle o pierwszym moim argumentie, popierającym twierdzenie pani Zawiszy.

Gdzie jest jednak ów konflikt z sumieniem, owo rozdwojenie uczuć i rozterka poglądów, której udowodnienie obiecałam na wstępie, a która jest, mojem zdaniem, najcięższą dla kobiety stroną pracy administracyjnej w majątku?

Konflikt ów polega na tem, że po pewnym czasie pierwszemu argumentowi przeciwstawia się pogarda dla samej siebie. Zniechęceniu do chłopca — zniechęceniu do siebie. Przychodzi chwila, kiedy nie wiem już, czy tylko mój cieśla jest nieuczciwy. Zaczynam wierzyć, że może stokroć nieuczciwszą jestem — ja. Budzi się cały skomplikowany i skrwawiony splot

zagadnień socjalnych. Budzi się szarpie spokój jak sęp neliitościwie od rana do wieczora. W sumieniu przekomarza się dwugłós. Więc to ja wyjeżdżam konno w pole i oglądam robotę mego fernala? Ale on ją robi, on moknie, ziębnie i stoi na skwarze. Więc to ja ważę worki ze zbożem przy młocarni parowej? Ale te dziewczyny, co zgarniają plewy, stoją cały dzień, całe tygodnie, wistnem piekle. Ja kieruję budową stajni, tak jest, odwierdam plac budowy trzy razy dziennie, ale... ale co myśli cieśla o tych godzinach, które spędzam na cienistej werendzie? Głupie skrupuły! Przecież ja kieruję całością robót w majątku. Spełniam pracę administracyjno-organizacyjną, umysłową, nie lepszą może od pracy cieśli i fernala — tylko inną. Ja biorę odpowiedzialność za całość. Ja wszystkim tym ludziom dostarczam utrzymania, montując wielką maszynę majątku. No tak, bardzo pięknie, ale moje dzieci pokończą uniwersytety za rezultaty tej mojej pracy umysłowej, a dzieci cieśli i fernali za zarobki ojca nie sięgną wyżej, niż siekiera i kosa.

Może byliby uczciwsi, gdyby mieli moich przodków? Może dotrzymaliby słowa, gdyby czytali moje książki? Któż jest winien? Ja czy oni? Chyba nie ja. Napewno nie oni.

I tak dalej. I tak dalej. I tak w kółko. Bezpłodna dyskusja dwóch głosów sumienia, dwóch głosów rozsądku. Bezpłodna udręka, co zatruwa serce, onieśmiela czyny, odbiera pewność rozkazującemu głosowi, każe drzeć ręce, która wypłaca zarobki.

To już konflikt specyficzny kobiecy: dręczący nas współpraca z tak nieznosnie obcymi nam ludźmi. A równocześnie dręczący nas poczucie, że ludzie ci patrzą na nas, jak na próżniaków i winowajców ich ciężkiego życia.

Tego konfliktu przeważnie nie odczuwa mężczyzna, rządzący majątkiem. Rozmawiałam o tem z niejednym. Każdy — najszlachetniejszy nawet — odpowiadał zawsze: Po co się dręczyć? Chłop nie zrozumie nigdy ciężaru pracy kierowniczej, ani trudu niesienia odpowiedzialności; tak jak nigdy pracy umysłowej nie nazwie pracą. Jeżeli więc sam czuję, że pracuję naprawdę, to nic mnie nie obchodzi sąd czyichś oczu, co nie nauczyły się jeszcze patrzeć“.

Zupełna racja. Ale mężczyzna z ową racją w głowie najspokojniej

rozkazywać będzie swoim podwładnym — kobieta zaś, uznawszy tę rację — będzie czuła nieracjonalne skrępowanie swą kierowniczą, pozornie próżniaczą rolą. Całą słusność rozumowania obali w niej odrazu jedno chmurne spojrzenie spoconego człowieka, co słusznie czy niesłusznie, uważa lub nawet nie uważa siebie za pokrzywdzonego pracą — ją zaś, panią — za obdarzoną prawem próżniactwa*). Z jakąż rozkoszą wzięłoby się grabie lub stanęło przy młóceniu! Nie można. Nie wypada. Ci sami ludzie, co przed chwilą zazdrościli pani prawa bezczynnego doglądania — przestaną ją szanować i słuchać natychmiast, jeżeli dotknie ich roboty. Tak bardzo są ciemni.

Niema wyjścia. Chciałoby się uciekać na koniec świata od tego konfliktu. Konfliktu wytworzonego nietylko przez istotę zagadnień społecznych, ile przez typ kobiecej wrażliwości. Niejedna z nas przechodzi przecie podobny proces myślowy w stosunku do własnej służącej w skromnym mieszkaniu miejskiem. Tam również „racje” splatają się z „wrażliwościami” i niejedną ciężką chwilę przysparzają młodej gospodyni. Ale w gospodarstwie miejskiem stosunek do służby jest drobną częścią życia. Na wsi — jest nieomal jego całością. Pogardzamy ludźmi niezdolnymi do poświęceń — i dręczymy się, łykając ich pogardę. Oscylujemy ciągle pomiędzy równie uzasadnionymi przyzwyczajeniami uczuć demokratycznych, jak nieodpartymi porywami wręcz staro-szlacheckiej wyniosłości.

To też śmiem twierdzić, że każda prawdziwa kobieta, kobieta o niewieścim typie duszy, rządząc majątkiem, obniży jego dobrobyt i zszarpie sobie nerwy, sama często nie wiedząc dla czego. Dodać mi tu wypada dwie rzeczy: Primo, że znam jedynie stosunki rolne na kresach wschodnich. Secundo, że mówiłam wyłącznie o kobietach, samodzielnie rządzących majątkiem, a nie o żonach, dopomagających mężom.

Pozostaje za to dla nas poważna praca naukowo-rolnicza, wielce sympatyczne zajęcie na stacjach doświadczalnych i — przepiękna mojem zdaniem rola gospodyni niewielkiej, kilkudziesięcio-morgowej kolonii.

Stanisława Kuszelewska-Matuszewska

*) Jeżeli nie uważa, jeżeli cały ten konflikt istnieje tylko w wyobraźni kobiety — niczego to nie zmienia. Cierpimy bowiem nietylko dzięki temu, co istnieje, lecz również dzięki temu, co nam się zdaje. Decyduje subiektywny stosunek do rzeczy, nie „obiektywna” o niej prawda.



STARY SĄCZ

3)

ZE SZKICOWNIKA.

KINGA

Uznana tylko za „błogosławioną“ przez kościół, dla ludu Polski i Węgier księżna Kunegunda jest zdawna świętą. O to najważniejsze wirtualnie ubiegał się dla swej założycielki i pierwszej opacichy klasztor starosądecki od wieku XVIII. W roku 1733 ksieni Stadnicka przy pomocy panów Stadnickich rozpoczęła starania o kanonizację w Rzymie. Sprawa ta zaszła daleko, lecz, że rzecz się podobna na ziemi rozstrzyga, że pod jej religijną powłoką splatają się i krzyżują sprawy polityki, ambicji, wpływów osobistych, animozje i walki stronnictwa, — nie dopłynięto z nią do portu i utknęła ku wielkiemu żalowi współczesnych i z wielkim ich poczuciem niesprawiedliwości. Złożono bowiem wszystkie, żądane przez proces kanonizacyjny dowody; przytoczono fenomenalną listę cudów i uzdrowień, przedstawiono wymaganych świadków, wydano olbrzymie sumy — Ducissa Cunegundis nie została postawiona na najwyższym szczeblu hierarchii duchowej, której wolno dostąpić wedle praw kościoła śmiertelnym. I wciąż jeszcze w klasztorze wisi skromna skrzynka, zbierająca „ofiary na kanonizację Ś-tej Kingi“.

Tymczasem opromienia ją po dawnemu aureola i sława niezwykłości i krążą o niej pełne wdzięku opowieści:

Jak to „codziennie“, wzięwszy laseczkę lipową w rękę, szła na przechadzkę w ulubione przez się Pienińskie (o 5 godz. odległe od Starego Sącza) i tam odwiedzała ogródek swój białych i czerwonych goździków; jak to ogródek ten powstał, gdy przed laty, uciekając na Sokolicę od Tatarów, zmęczona i mając stopy poranione, znaczyła swe przejście kropkami krwi i łez. Z kropelek krwi urosły goździki czerwone, z perlistych łez — goździki białe.

Opowiadają jeszcze, jak goniona przez Tatarów, dopadła niedaleko Krościenka pola, które orał chłop. Zatrzymawszy się, rzekła: „gdy szukać mnie będą i zapytają, czyś mnie widział, odpowiedz, że przechodziłam, tędy, gdy siałeś zboże“ — i odeszła. Wkrótce nadbiegli ścigający i jęli pytać chłopca o Kingę. Odpowiedział, jak mu kazała. Tymczasem na polu jego chwiały się już w słońcu łan dojrzałego zboża.

I jeszcze, jak, rzuciwszy za siebie długi welon, wywołała z ziemi kręty potok, który przyszedł za nią aż pod mury klasztoru; i jak sama przeciw Czechom i trzymającym z nimi pachółkom szła, nie bojąc się ich strzał, zbrojna jedynie w wolę i moc swego słowa.

Długosz, wielbiciel Kingi, który z synami królewskimi od 1469—1470 r. siedział na zamku starosądeckim, napisał jej dzieje¹⁾.

Poza delikatną aureolą poezji, która otacza jej postać, stają w podaniu realne dokumenty zasługi:

Funduje klasztor w 1257 na sto zakonnic Ś-tej Klary; pierwsze srowadza z klasztoru Św. Jędrzeja w Krakowie, oddaje mu²⁾ w 1280 r. w posiadanie St. Sącz z wioskami, sobie 200 grzywien dożywocia zostawiając. W akcie fundacyjnym powiada: „pragnąc tedy ochronić je (zakonnice) od niedostatku w rzeczach świętowych, aby zawsze opływały w skarby duchowe, dajemy im: zapisujemy i tytułem wieczystej darowizny szczerą i nieprzymuszoną wolą nieodwołalnie przekazujemy im... miasto Sącz z poborem celnym i wszelkim jego dochodem i użytkiem, jakoż poniższe nasze wsie i dziedziny“³⁾.

Uniezależnia siostry od braci Franciszkanów, osiadłych na zachodniej części miasta w liczbie trzydziestu.

Rzecz się bowiem tak miała: dla odprawiania nabożeństwa u zakonnic, śpiewania u nich godzin kanonicznych, oraz wygłaszania kazań, słuchania spowiedzi i spełniania innych duchowych obowiązków — założono w St. Sączu równocześnie z żeńskim — klasztor męski. Klasztor ten pozostawał niejako na utrzymaniu sióstr, które były obowiązane dostarczać braciom strawy. — Z wyższych umysłowych kompetencji Franciszkanów wpływała ich nad Klaryskami przewaga moralna, której nadużywali, jako że byli to ludzie prości i mało okrziesani.

I oto Kinga kształciła siostry w śpiewie chóralnym i uczy sztuki czytania i pisania. Wedle podania pierwszy kościelny śpiew polski rozległ się w murach klasztoru starosądeckiego i za rządów tej Pani. Podobno tam również ułożona została przez spowiednika Ducissy, brata Boguchwała, pieśń „Bogu rodzica“⁴⁾.

Następstwem tej samowystarczalności Klarysek w sprawach chóru i postawienia pierwszych kroków ku

zdobyciu wiedzy — był coraz samodzielniejszy, coraz bardziej własny tryb życia klasztoru żeńskiego. I podobnie, jak inne klasztory XIII-to i XIV-to—wiecza, stał się klasztor starosądecki azylem, w którym niejednokrotnie znajdowała zaspokojenie tęsknota kobiet do życia niepowspędzonego. Klasztor był wówczas szkołą, był miejscem, gdzie rozwijać się mogła kobieca „inszość“ duchowa, jej twórczość w dziedzinie czynu. Życie kobiet świeckich było zależne, wąskie i nieciekawe. Kratę, jako symbol życia „po swojemu“, uznały za przedmiot aspiracji co niepodległejsze i zdolniejsze panny możnych domów. Z biegiem lat przeobleczenie się w suknie zakonną stało się modnym, a sama suknie zaczęła służyć jako wzór dla strojów świeckich.

Zanim jednak do tego przyszło — trzeba było mocnych charakterów na podwaliny klasztorom.

Ducissa Cunegundis z wiotkiej panienki urasta na świadomą, czynną, nieugiętą Panią krakowską. Jest wychowawczynią i kierowniczką męża.

Urodzona w 1224 roku, w piętnastym roku życia poślubia 17-to letniego Bolesława. Rozkazuje mu, by był dla niej przez całe życie bratem; skłania do wpisania się do tercjarzy Ś-go Franciszka; przyjmuje czynny udział w jego polityce; czyni uwieńczone skutkiem starania o kanonizację biskupa Stanisława (1254—55 r.); w 1260 r., jeszcze za życia Wstydliwego, zapisuje się do reguły klasztornej; w 1279 po jego śmierci ponawia ślub i z siostrą Jolantą zamyka się w Starym Sączu. Stał rządzi księstwem sądeckim — ingeruje u Leszka Czarnego w sprawie krzywd, których doznają jej poddani; poznaje gorycz potwarzy i intryg „braci mniejszych“, — dotknięta srodze, wychodzi z tych życiowych turbacji wyniosła, spokojna i „rozweselona“. Umiera po 13 letnim pobycie w klasztorze.

Wpływ jej trwa poprzez śmierć — i wyraża się w cudach, o których mówi ze smutkiem Długosz, że przez piętnaście lat po jej śmierci nie były spisywane.

Wśród górników Bochni i Wieliczki istnieje do dziś dnia jej kult.

Widziana z odległości prawie 700 lat, królowa Kinga wygląda na jedną z tych — mocną kulturą ducha opancerzonych, w pracy wewnętrznej wyćwiczonych, umiejętnością skupiania woli sławnych, dla siebie twardej, w dążeniu do ideału wytrwałych, siłami nadprzyrodzonymi zaiste rozporządzających — niepospolitych Pań średniowiecza, które wysłużyły sobie nieśmiertelność.

(c. d. n.)

N. Samotybowa.

¹⁾ „Żywot błogosławionej Kingi“.

²⁾ Tj. klasztorowi starosądeckiemu.

³⁾ Ciekawe jest owo całkiem dzisiejsze, w duchu daleko idących reform społecznych ujęte, uzależnienie bogactwa życia wewnętrznego od dobrobytu i zaspokojenia potrzeb „światowych“!

⁴⁾ Stanisław Wasylowski: Ducissa Cunegundis. Klasztor i Kobieta.

FOTOGRAFJE Z PODRÓŻY

II

MONTE PINCIO

Trzeba mi było pojechać aż do Rzymu, żeby zobaczyć istotę, dawno już nie widzianą gdzieindziej jak w domowym zaciszu.

Nie widziałam jej ani w Warszawie, ani w Wiedniu. Jest to „Starsza Pani”.

Niedawno czytałam nawoływanie, aby kobiety nie poddawały się starości i zostawały wciąż młodemi. Cóż! kiedy z naturą walczyć a la longue nie podobna i właśnie w Rzymie można nauczyć się naocznie, że piękniejsza jest ruina, opleciona bluszczem, dumna w swojej melancholji, niż otynkowana, podreperowana rudera. Chodzi o to, aby i ze starości wydobyć wdzięk, harmonijnie łącząc się z właściwą jej powagą, który nie wyklucza bynajmniej uśmiechu i pewnej tężyzny, a przede wszystkim zachowanie najcenniejszego skarbu: radości życia.

Otóż te panie, którym przyglądam się, owinięte w czarne koronki, pięknie udrapowane w miękkie fałdy jedwabiu, kryjące w riuszkach zwiędłą szyję i tak pięknie noszące srebrne włosy pod cieniem woalu, mają wdzięk i dostojność, harmonizują z pejzażem zamiast go szpecić, jak to czyni niemiecka szanowna zresztą „gnädige Frau”, która plamę rzuca brzydką na najcudniejszy alpejski widok. Niemka ma godną zazdrości „radość życia”, opala się i zdrowia nabiera wśród świeżości gór, ma pełno kwiatów w rękach, ale w swoim sportowym kostjumie, z bluzeczką i paskiem uwydatniającym niemiłosiernie biodra i—brzuszek, a jeszcze nie daj Boże w kapelusiku tyrolskim na czubku głowy, jest tak brzydka, że może się przyśnić. Widziałam takie same turystki na Via Appia: rozpaczliwy dyssonans z otoczeniem.

A starsza pani rzymska zlewa się harmonijnie z tłem dostojnych ruin.

Nie mówię już o najpiękniejszym zjawisku, jakie widziałam: osiemnastowiecznej księżny o wielkim historycznym nazwisku, pięknej, prawdziwie pięknej w białych swych włosach, pod którymi duże oczy błyszczały jak czarne brylanty i w nieskazitelnej biele swego stroju od białych pantofel-

WSTĘP DO WTÓREJ CZĘŚCI „KSIĘGI O PRZYJACIOŁACH“

(WSPÓLNEGO WYDAWNICTWA ZOFII RYGIER NAŁKOWSKIEJ I M. J. WIELOPOLSKIEJ
z ILUSTR. NINY ALEXAN'DROWICZ).

Dlatego międzyprzestrzeń ta nazywała się RAJEM.

Nie było ludzi.

Drzewa zieleniły się wiotką platformą radośnemu niebu.

Rzeki płynęły rozmodrone, swobodnie.

Przedły łagodne smugi swojej urody i zapachu kwiaty.

Kamienie drzemały tajne w kołyskach z rudego mchu i młodej pleśni.

Śladu istnienia ludzkiego nie napotkałeś nigdzie,

ani kramów ich wielkości,

ani chramów ich głupoty,

ani szlaków ich chuci,

ani zamętów ich zbrodni.

Dlatego międzyprzestrzeń ta nazywała się RAJEM.

Nie łamał nikt drzew.

Nie deptał nikt kwiatów,

nie tykał nikt kamieni,

nie wycinał nikt krzewów,

nie łowił nikt ryb,

nie zabijał nikt zwierząt.

Nie było ludzi.

Dlatego międzyprzestrzeń ta nazywała się RAJEM.

Aż przyszli LUDZIE.

Było ich wszędzie pełno.

Wbili się mnogimi klinami w ciszę i słodycz.

Drzewa rąbano na zabawki dla dzieci i na łóżyska dla armat.

Kwiaty wstawiano, konające, w wazoniki i w dziurki od guzików.

Kamienie tłuczono na szosy, lub rzezano na kolczyki do nosów i do uszów,

Krzewy wycinano „dla perspektywy”.

Zwierzęta zabijano dla przyjemności i dla żołądka.

Dla utrzymania własnego prestige'u, nazywano złego człowieka szakalem,

fałszywca kotem,

Oszusta świnią,

idjotę osłem,

zdrajcę psubratem,

nikczemnika zwierzęciem.

Aż przyszedł znowu czas rehabilitacji.

Jeden, uczony, rzekł:

nie mów homo homini lupus,

ale mów: homo homini homo.)*

Drugi, poeta, rzekł:

OSTANĘ SAM,

PEŁEN MIŁOŚCI KAMIENI,

DRZEW, ZWIERZĄT

I TEJ NAJTRUDNIEJSZEJ,

NAJŻMUDNIEJSZEJ

*MIŁOŚCI CZŁOWIEKA.**)*

M. J. WIELOPOLSKA

*) Baudoin de Courtenay.

**) Emil Zegadłowicz.

ków aż do koronki na głowie. Na tle majestatycznej zieleni parku, czyto w swoim pokoju w otoczeniu pamiątek przeszłości wyglądała jak jakaś dobra wieszczka z bajki. Ale także przeciętne panie „z towarzystwa” wyglądały symbolicznie i estetycznie dzięki umiejętnej harmonji czarnych jedwabi, koronek, futer, ożywionych czasem łagodnym fioletem ametystu.

Słuchały z cichą rozkoszą muzyki, poły się ciepłem letniego wieczoru i były same, jak cichy wieczór, który nie potrzebuje sztucznych światel i jaskrawych blasków.

Sztuka pięknego starzenia się! Rzecz ponoś wrodzona, mają ją nieraz chłopki, wspaniałe jak rzeźby, o twarzy spracowanej, otoczonej malowniczym zawojem chustki barwnej,

a urąga jej mieszczka w kapelusiku z piórem, żałośnie zwisającym z czubka uczesanej do góry, siwej głowy, vide stróżowe warszawskie! Kobieta inteligentna powinna porównywać wzory i stworzyć sobie estetyczne ramy, odpowiadające jej psychice, a nie gonić za motylem, który odbiegł bezpowrotnie: za młodością.

K. F. B.

GRAZIA DELEDDA

5) SENTYMENTALNA NOWELKA

Przeł. z włoskiego J. D.

(D o k o Ń c z e n i e)

I t. d. i t. d. było dodane przez Serafina, któremu ostatnia część listu Elżbiety Kerker wydała się nazbyt robiona.

— Pewnie jakaś bogata cudzoziemka w okularach — pomyślał, — z tych, co to będąc bardzo możne, naigravaju się z biednych, protegują i mówią: „Wy jesteście szczęśliwi”.

Niemniej pisywał jeszcze, lubując się egoistycznie, jak każdy samotnik w opisywaniu swego domu, ogrodu, góry, szkoły, działwy i wszystkiego, co uzupełniało melancholijny obraz jego życia.

* * *

Listy te stały się naturalnie pierwszym rozdziałem powieści, ani mniej ani więcej ciekawej od tysiąca innych tego rodzaju, a które powstają zawsze u młodych pisarzy i pisarek.

Nie sposób przytoczyć tu wszystkich listów obojga nauczycieli. Szły one przez półtora roku.

* * *

Minęło zatem półtora roku. Dwie pochmurne i wilgotne jesienie, jedna wiosna gorąca, jedno lato upalne i dwie zimy letnie i jasne, jak wiosna. Serafin nie pamiętał smutku lub radości innych lat, które przebył jak niewidomy podróżny, ale nie zapomniał nigdy ciepła tej wiosny i słodczy dwóch ostatnich zim, spędzonych w wiosce, gdzie mieszkał literat, jego wróg. Żaden wróg nie cierpiał nigdy tyle, co ten literat. Cała okolica czciła obecnie nauczyciela, bo administracja pisma wiedeńskiego „Die Zeit” przysłała mu dziesięć egzemplarzy pisma i siedmdziesiąt guldenów w liście poleconym. Serafin wprawdzie nie starał się o sławę w miejscu, w którym nauczał, ale tajemnica jego

powodzenia i sława rozniosły się przez urząd pocztowy.

Nawet figurka Zuloagi przyjrzała mu się któregoś dnia oczyma życzliwymi, nieco zmysłowymi, ale on już nie dbał o nią obecnie.

* * *

Gdyby nawet zima tego roku była sroga i smutna, nie byłby cierpiał od nędzy i zimna. Wszystko dookoła niego było teraz jasne i piękne. Czuł się kochanym i kochał. Wprawdzie Elżbieta nie napisała mu nigdy, że go kocha, ani on również, ale pewnych rzeczy wypowiadać nie potrzeba; odczuwa się je.

Kochał zresztą tak, jak zawsze pragnął: bez wyrachowania, bez nadziei. Ot tak, żeby kochać. Elżbieta była bardzo bogata, bogatsza od figurki Zuloagi i także dumna, ale inaczej, niż wiejska panienska. Napisała raz do niego w te słowa: „Rada jestem, że pomiędzy mną, a człowiekiem, który powie, że mnie kocha, będzie wielka moralna przeszkoda, jedna z tych, którą nie każdy ośmieli się pokonać...”

Serafin nawet nie zapytał, na czym polega owa przeszkoda. Czy była jakaś plama na przeszłości Elżbiety? Mało go to obchodziło, był bowiem pewny, że nigdy się nie zetknie ze swoją tłumaczką i nie będzie szukał jej miłości. Jednak, rzecz dziwna, jakkolwiek sprawdziło się jego dawne romantyczne marzenie, nie myślał już o śmierci.

* * *

Nadeszła druga wiosna: mury niedokończzonego domostwa pokryły się mchem i żółtymi kwiatkami, a z góry dochodził zapach cyklamenów.

Na święta Wielkanocne Serafin pojechał do Neapolu. Tam kupił krawat biały, atłasowy w kwiatki liljowe i kładąc go przed lustrem w sklepie zauważył, że mu w nim do twarzy i że jest przystojnym młodzieńcem. Przypomnił sobie notatkę, przeczytaną w piśmie przed kilku dniami o bogatej amerykance, która wyszła za konduktora kolejki, jedynie dlatego, że był ładnym chłopcem.

Ze sklepu udał się do hotelu Cavour, w którym stanęła Elżbieta, przybyła z Rzymu wieczorem dnia poprzedzającego.

Czuł się dziwnie spokojny. Pragnął ukazać się bogatej cudzoziemce pełnym godności, ale przybywszy przed hotel poczuł, pomimo spokoju, silne bicie serca.

Tłum malowniczy i barwny wypełniał plac; powietrze było ciepłe, na niebie snuły się lekkie, białe chmurki, a biegły tak szybko, jakby spieszyły na miłe spotkanie.

Kupując wiązanek pasowych róż, Serafin spostrzegł kozę, a przy niej pastucha, ślicznego chłopca, ubranego jak dandys z operetki, w wysokim kołnierzu i żółtych butach. Zawstydził się wtedy, że mógł pomyśleć o bogatej amerykance i konduktorze kolejki i ścisnąwszy mocno kwiaty, poszedł z głową wzniesioną do hotelu.

* * *

W dwie godziny później znaleźli się we dwoje: on i piękna Elżbieta na przystani Bagnoli, wprost Nisidy.

Elżbieta była piękna, jak włoska. Ani śladu okularów. Miała włosy i oczy czarne, twarz rumianą, wyrazistą, szlachetną, usta duże, korallowe. Jedynie nie podobało się Serafinowi, że wykreciała wargi, wymawiając trudne włoskie wyrazy.

Ni stąd, ni zowąd przemówiła po niemiecku.

— Wie pan — rzekła po włosku, patrząc na brzeg, na który morze rozpościerało delikatnie koronkę niebieskawej piany — wydaje mi się, że czytam ustęp „Z listów, które go nie doszły”, w którym autorka opowiada swój sen atawistyczny, powiedziała bym tak... I powtórzyła po niemiecku kilka zdań z cudnej książki:

„Widziałam morze gładkie, jak lustro, nad którym niebo rozciągało się bez końca. Nad brzegiem siedziały dwie osoby... i obie roztaczały urok młodości, światła“.

Serafin nie znał niemieckiego języka i nie rozumiał głębokiego znaczenia literackiego wspomnienia Elżbiety, ale gdy mówiła swoim językiem — usta jej przybrały wyraz tak słodki, że patrzył na nie, jak spragniony patrzy na dojrzały owoc. Dostrzegła jego spojrzenie i zarumieniła się, a on, widząc ten rumieniec, spojrzał w dół, nie chcąc się zdradzić więcej i zdecydowany nie narażać swej godności biednego człowieka. Poprosił niewinnie: „Niech mi pani przełoży te słowa na język włoski?“ Elżbieta przetłumaczyła, a wtedy on zapłonął rumieńcem.

* * *

Od owej chwili zaczął tracić swoją sławetną godność ubogiego. A więc Elżbieta nie tylko go kochała, ale upoważniała go do pokochania jej. Nie wiedział, jak się ma zachować: nie był dość naiwny lub zarozumiały, żeby nie skorzystać ze sposobności, ale nie wiedział, jak zacząć. Chciałby spełnić najgorętsze swoje marzenie, pochwytać Elżbietę w ramiona i czuć bicie jej serca na swoim. Nic więcej.

Kim była Elżbieta? Skąd się wzięła? Czy była wolna? Czy była czysta? Jaka była ta przeszkoda, o której niegdyś wspominała? O wszystko to nie pytał. Widział przed sobą osobę młodą, piękną, strojną, która przybyła z daleka, może dla niego, dla niego samego i upoważniała go do miłości. Coby się stało później? Tego nie wiedział i nie chciał się zastanawiać.

Spędzili cały dzień w Bagnoli, razem zjedli obiad na ukwieconym tarasie małej traktjerni Don Salvatore, który sam sporządzał potrawy na pierwotnej kuchence, przyglądał im się z lubością, mając ich za młodą parę. Potem udali się na wyspę Nisidę. Wiosna użyczyła swego słodkiego podmuchu nawet i morzu; fale wyglądały, jak olbrzymie girlandy kwiatów pozłacanych, błękitnych; aureola chmur złoty okalała zie-

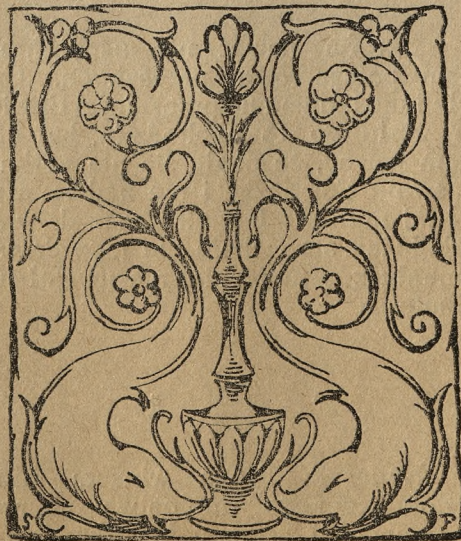
lone pagórki i błękitne wysepki, powietrze pachniało.

Ale Elżbieta, której szczupła postać i szlachetna główka rysowały się cudnie na błękicie morza, posmutniała, zamilkła, myślą była nieobecna i zdawało się, że zapominała o Serafinie, który nie śmiał nawet patrzeć na nią.

Nisida zbliżała się, tracąc powoli kształt wywróconej mandoliny, coraz bliższe zdawały się jej różnobarwne domki, turkusowe skały, rafy, biały dom żywcem pogrzebanych.

Elżbieta przyglądała się i nie myślała o towarzyszu. Dopiero, gdy przybili do brzegu — chwyciła jego ramię, by przejść przez drgający pomost i rzekła ze śmiechem: „Prawie we wszystkich powieściach jest rozdział, jakby z urzędu, w którym dwoje zakochanych... albo takich, co nie mi zostaną, robią wycieczkę do starego zamku, czy klasztoru, czy kościoła. Autor korzysta ze sposobności, by popisać się swoją kulturą artystyczną, a zakochani wypowiadają się. Nie sądzę jednak, by jakakolwiek para wybrała się odwiedzić miejsce pobytu zesłańców“.

— Z pewnością — odrzekł nieśmiało. Głos mu drżał, serce biło mocno. Co powiedziała Elżbieta? Że nastąpiła pora wyznania? — Droga zamknięta dwiema ścianami, od czasu do czasu przerywana żelaznymi ogrodzeniami, przez które widać było zieloność, oraz morze i niebo, była pusta, cicha, gorąca, pokryta świecącym niebem. Słychać było krzyki ptaków, jakieś głosy dalekie, uderzenia obcasów Elżbiety i szelest jej jedwabnej spódnicy. Serafin mógł tylko wyciągnąć rękę, żeby ją przycisnąć do siebie, a nie miał innego pragnienia w duszy, innej myśli w głowie; ale nie śmiał. Zdawało mu się, że Elżbieta żartuje; niepodobna, by mówiła na serjo. Sam szelest jej sukni trzymał na wodzy



biednego nauczyciela. A jednak lękał się być śmieszny z tą swoją przesadną nieśmiałością.

Nagle droga skręciła, otworzyła się nad urwiskiem skalistym, gdzie morze wzdychało z lamentem.

Elżbieta stanęła i patrzyła zamyślonemi oczyma na cudny widok, jaki się roztaczał.

— Czy takie było miejsce? — zapytała.

— Tak — odrzekł Serafin, przywodząc na pamięć swój sen i nie wiedział, jakim dziwnym prawem pamięci nasunęło mu się wspomnienie smutnej przeszłości, jak w czasie owego snu. A teraz? Teraz był tutaj, kochający i może kochany, ze swoją towarzyszką piękną i elegancką, przybyłą z daleka, tak, jak fala, jak powietrze, jak chmury, jak ptaki i która może tylko oczekiwała słówka, by ofiarować mu całą swoją piękność i fortunę. Z zapalem prawie rozpaczliwym uściskał ją.

Podniosła dumnie głowę, a wtedy spostrzegł rzecz dziwną: płakała.

— Czemu? — zapytał błagalnie. — Niech mi pani wybaczy, jestem szalony. Ale niech pani powie słówko, niech pani powie, że mnie kocha... a potem, jeżeli taka będzie Jej wola, nie zobaczy mnie pani nigdy więcej. Nigdy, nigdy... — powtarzał, jak dziecko, zrozpaczony jej zmartwieniem.

— To nie dlatego... — rzekła, przybliżając się do niego. — Ja pana kocham; płakałam z innego powodu... Otóż, tak, powiem panu teraz, bo inaczej nie mogłabym już nigdy tego powiedzieć. Czy pan pamięta? Ten stary przyjaciel, który usiłował zbiec.. z domu karnego... i został zabity przez goniącego go strażnika, to był... mój ojciec...

— Elżbieto, Elżbieto!...

Był błydy jak ściana, dolna warga drżała konwulsyjnie. Nie mógł nic więcej powiedzieć. W tragicznym wyznaniu Elżbiety rozumiał tylko rzecz jedną. Ona, która wycierpiała tak niesłychanie wiele, kochała go. Więcej nic go nie obchodziło.

Ona rzekła:

— Oto dlaczego głos pańskiej duszy tak mnie wzruszył z daleka. Pan byłbyś się ulitował nad moim ojcem... będziesz też miał litość nademną...

Nie, doprawdy, to ona miała litość nad nim. Widząc go drżącego, jak dziecko, przytulonego do niej w obawie, by mu nie uciekła, uśmiechnęła się przez łzy i schyliła twarz do jego twarzy, by wycisnąć pocałunek na jego drżących wargach.

16)

D R O G A M I D U S Z Y

HELENA CEYSINGERÓWNA

(d o w i e ś ć)

ROZDZIAŁ XII

WARSZAWA

Któż wypowie duszę twoją,
o miasto słoneczne, miasto grające
naraz wszystkimi dźwiękami, jakie na
strunach złotej harfy polskiej migocą!

Miasto śmiechu i tańca!

Miasto szubienic!

„Harfo, strzaskana bolesnemi
ciosy“!

Grodzie, wdzięczący się do pa-
nów swoich i katów!

Stolico spisku!...

Lekka, wdzięczna płocha kurty-
zано, oficerom moskiewskim podają-
ca karminy ust!

Miasto wschodniego zbytku!

Miasto nędzy!

Każdy kamień bruku twego spla-
miony polską krwią!

A lica się śmieją, a szumi i trys-
ka, i pieni się szampan żywota!

Warszawo Wysockich i Traugut-
tów!

Stolico banalności i snobizmu!

Ale gdy ułożysz się nareszcie
na sen, w ciche, miesięczne noce, po
ulicach twoich chodzą Cienie...

Bezszelestnem stąpieniem idzie
niewiasta, w szatach żebraczych; pod
łachmanem szarym—jej głowa wy-
niosła—jej stopy broczą krwią... a gdy
promień miesięczny padnie na nią,
to w strzepach jej chust miga nitka
złota, srebrna, purpury zblakłej rąbek
preziera... Idzie, idzie przez na-
piętnowane nędzą ludu polskiego
Rybaki, przez splakane niedolą Bu-
gaje... widzi: dziecko śpi pod murem...
Zbił je ojciec, macocha zła wypędzi-
ła głodne na bruk, więc przytulił się
szczeniak do twardego muru ka-
mienic, usnął splakany.

Zebraczka staje: z sakwy znisz-
czonej dobywa czerwony złoty i kła-
dzie chłopcu w czapczyne... widzia-
dlaną dłonią głaszcząc senne czoło —
chłopiec na chwilę otwiera oczy, po-
tem zasypia znów i śni mu się, że
nad nim stanęła pani w koronie, ni-
by Matka Boska...

Śmieją się z niego Antki—kolegi
z nad Wisły, gdy im nazajutrz opo-
wiada swoje widzenie.

Niech się śmieją! A on, czer-
wieńca nie odda nikomu, choćby zeń
pasy darli! Polski czerwony złoty...
z orłem w koronie!... chłopcy mówią,
że ukradł. On wie swoje. I coraz
częściej duma samotny, a dukat sta-
ry dziwne blaski sieje dokoła, dziwy
nad dziwy ulicznikowi warszawskiemu
powiada.

Warszawo — matko! w gwar ulic
twoich, niby echo dalekie wpadnie

czasem krzyk dziwny, niewieści... Z ta-
kim krzykiem umarła niegdyś nagle
Emilja Gosselin, owego strasznego
dnia, gdy wieszano ostatni twój Rząd
Narodowy, a ty stałaś u stóp szubie-
nicznego wzgórza i lkałaś ponurem
łkaniem ludu, kładzionego żywcem
w mogiłę... lecz wkrótce potem stroj-
na, uśmiechnięta pobiegłaś na bal do
namiestnika!

Warszawo, o jasnym świtanu
letniego poranku niesie się falami
powietrza twego, przeciągły płacz ko-
biecy... To po Krajewskim siostry
tak płakały... i dźwięk się został, w
powietrzu zaklęty...

A innym znów rankiem słyhać
dalekie, głuche dudnienie wozu...
to ten, którym na śmierć wieziono
Zawiszę... Dźwięk posępny krąży
przez lat długą toń i żyje...

A gdy zachodu czerwień się roz-
pali, to miasto całe stoi w tych łu-
nach, jak krwawe serce Polski, jak
wid groźny, płomieniem zemsty ludo-
wej gorejąca.

A i na twarzach ludzkich bywają
znaki:

Po ciężkiej pracy całego dnia
wracają robotnicy warszawscy do
mieszkań swoich. Dłonie ich uzno-
jone, lekko pochylone postacie, obli-
cza przyciemnione od znojnego trudu,
od dymów i sadzy fabrycznych — ale
na czołach jasność i duma; słonecz-
na piękność polskiego typu przebija
przez dym i znój; w oczach łagodna
tęsknica aryjska.

Na krańcach świata poznałbyś,
że to oni: umarłej matki pogrobowe
syny! Idą mocnym, pewnym stąpa-
niem... idą w przyszłość.

Jeśli spotka ich dusza czująca,
pomyśli:

Z takich, jak oni rodzą się Kiliń-
scy... w chmurną, wiosenną noc,
kiedy zbudzone, narodowe moce
o czyn wołają...

Wanda idzie spiesznie po wybo-
istym bruku Powiśla. Za kwadrans
musi być na Furmańskiej pod 6-ym.
W domu tym mieszczą się w czterech
robotniczych mieszkaniach tajne szkoł-
ki polskie. Do każdej przychodzi
trzy zmiany dzieci. W każdym kom-
plecie jest około 20 malców. W tym
jednym domu od rana do wieczora
około 200 dzieci uczy się bez wiedzy
rządu, uczy się w zakazanym, polskim
języku, zakazanych prawami carskimi
przedmiotów.

Tuż obok, na Furmańskiej pod
8-ym są dwie takie szkoły, na Bed-
narskiej pod 6-ym trzy, na Marjen-

sztaście — cztery, na Bugaju — trzy, na
Starem Mieście, w staroświeckiej Ba-
ryczków kamienicy — dwie. Są na
Solcu, na Czerniakowskiej, na Prze-
mysłowej, na Placu Witkowskiego
są prawie w każdym domu; są za ro-
gatką Jerozolimską, na Woli, na
Pradze.

Niewidzialna to sieć, zarzucona
na miasto, zostające pod carską wła-
dzą! Sieć tę uprzedły i splątały mis-
ternie, i zarzuciły sztucznie, a skry-
cie kobiecie, drobne, ale silne i uparte
ręce. Czasem oko tej sieci przerwie
jaki gorliwy działacz policyjny, ale
czuwające zdala dłonie wnet w in-
nem miejscu zwiążą nici, beztrwożne,
cierpliwe, niestrudzone tajemnymi zna-
kami rozproszoną, ale czujną dział-
wę — na inne znów poddasze, do in-
nej suteryny...

„Za niedozwolone nauczanie do-
mowe ustanawia się karę pieniężną
do 200 rubli, albo do 3-ch miesięcy
więzienia“ — grozi w specjalnym uka-
zie car.

Za organizację tajnego naucza-
nia należą się kary większe: kilka lat
więzienia śledczego, a potem — może
katorga, może Sybir albo, oddalone
gubernje Rosji.

Ale kobiety polskiej to nie od-
straszy, o carze!

Ona wiąże w milczeniu sieć ni-
klą, niewidzialną, wplata w nią żył-
ki polskiego ludu, wplata krwawe rubiny
wielkich serc, ona ją tka ze wspo-
mnień ojczystych, ze słonecznej wiary,
z miłości mocniejszej, niż śmierć,
i z nienawiści mocniejszej od życia.
Ona wydziera ci z rąk pokolenie całe
dzieci polskich, które skazałeś na
ciemnotę i nędzę, a przeznaczyłeś im
bandyckie żywoty kończyć w kator-
dze, po domach publicznych i u Ła-
zarza.

O carze! Z kobietą polską je-
steś w walce...

Po trzech schodkach kamiennych
weszła Wanda na ulicę Furmańską.
Tuż—numer szósty. W drugim pod-
wórzu na trzecim piętrze, w miesz-
kaniu murarza Kriegera jest szkołka,
w której dziś ma lekcję historii.

Gdy po krętych, drewnianych,
wąskich schodach idzie w górę, otwie-
rają się drzwi mieszkań robotniczych.
Już ją wypatrzyły kobiety. Wybiega-
ją i choć się broni, całują po rękach.

— Pani kochana, niech Pani
i moje dzieci zapisze do szkoły!

— Mój Franek trzy lata chodzi
do miejskiej i jeszcze się czytać nie
nauczył.

(c. d. n.).

VICENTE BLASCO IBANEZ

4)

Przekład z hiszpańskiego. r. c.

STARUSZKA Z KINEMATOGRAFU

Wszystkie paliły papierosy. Rozciągnęły się wprost na podłodze, na wielkich skórach białych niedźwiedzi, lub też na miękkich poduszkach jedwabnych, wypchanych, z wgłębieniem pośrodku, podobnych do obwarzanków. Niektóre przeciągały się, jak leniwe zwierzęta, nie dbając przy tem, co odsłaniają; inne opierały podbródek na kolanach, które obejmowały rękami splecionymi.

Srebrna taca z przyborami do herbaty stała też na podłodze, a mała lampka spirytusowa dygotała pod srebrnym czajnikiem zaledwie widzialnym, błękitnawym jęczyzkiem ognia.

Julisia bez żenady przedstawiła babkę swoim przyjaciółkom.

— To moja babunia. Sprzedaje w dzień warzywa przy ulicy Lepic. Jestem dumna z moich przodków, niemniej niż wnuk rycerzy krzyżowych.

Oznajmienie jej przyjęte zostało wybuchem śmiechu przez towarzyszki, które rychło jednak zapomniały o starowinie. Chciała wyjść z pokoju. Nie podobały jej się te obyczaje, zarazem wszakże bała się urazić wnuczkę.

Przesunęła się chyłkiem od krzesła do krzesła, jak dziecko, które chce wymknąć się niepostrzeżenie, i w ten sposób wydostała się do sali jadalnej. Stanąwszy tam, nabrała odwagi i weszła śmiało do sąsiedniego kurytarza.

Ale tutaj natknęła się na pokojówkę, niosącą imbryk z gorącą wodą do herbaty. Nie mogąc jej darować znalezienia się na wstępie, obrzuciła ją paroma wyzwickami.

— Żmija!.. Flądra!..

Ulżyło jej po tej najwyższej zniewadze, spokojniej też zeszła z kilku schodków, aby dostać się do kuchni.

Tam dopiero, daleko więcej niż w salonie, olśniło ją bogactwo wnuczeki. Co za przepych! Ile rądlu błyszczących niczem słońce!

Kucharka robiła honory domu, stawiając na stole butelkę i dwa kieliszki. Wypróżniły je, zwierając się sobie wzajem ze swoich zmartwień. Wreszcie przyniosła służąca fotografię, którą ucałowała i pokazała gościowi.

— Mój syn jest strzelcem alpejskim, „niebieskim djabłem“, jak ich nazywają. Służy w Wogezach.

Stara, aby nie pozostać w tyle, wyciągnęła też z zanadru fotografię żołnierza.

— Mój wnuk! Zabili go, ale teraz przedstawia co wieczór w kinematografie.

Kucharka zakreśliła się niespokojnie na krzesle, — Napewno zwarjowała ta stara! — tak mówiła też i pokojówka. Nic jednak nie dała po sobie poznać, bo to przecież babka samej pani.

Aż do obiadu została straganiarka w tym raj, którego przepychu nie przestawała podziwiać; ale potem przykro jej było, doznała jak gdyby wyrzutów sumienia, kiedy znalazła się na górze, w olbrzymiej sali, przy stole naprzeciwko wnuczki, a w pewnej odległości od niej stał lokaj, tak samo napuszony i niemiły, jak pokojówka.

Bardzo jej smakowało jedzenie; przyznawała, że nigdy jeszcze nie jadła takich dobrych rzeczy, a jednak miała wielką ochotę skończyć z tem jaknajspieszniej.

Spojrzała na zegar na kominku, Blisko ósma.

— Nie spiesz się, babuniu. Mamy czas. Samochód zawiezie nas w kilka minut.

Nagle wielkie poruszenie w całym pałacyku: ze wszystkich ston dzwonki, okrzyki zdumienia antypatycznej subretki, stuk otwieranych drzwi, męski głos.

Pokojówka wbiegła pędem:

— Proszę pani!.. Pan przyjechał.

Nie dodała nic więcej, ale stara odgadła. Wiedziała dobrze, kim był „pan“. Zobaczyła pięknego mężczyznę w mundurze lotnika, który wpadł do jadalni jak bomba. Nie zdążył zbliżyć się do stołu, tancerka zerwała się bowiem z krzesła i pobiegła mu naprzeciw, tuląc się do jego piersi.

Przed kilkoma minutami mówiła o nim ze smutkiem. Nie widziała go od sześciu miesięcy. Niepodobna było marzyć o urlopie w danym momencie.

Lotnik wyjaśnił w kilku przerywanych słowach.

— Niespodziewany rozkaz... Ważna sprawa do załatwienia w Paryżu.. Dwadzieścia cztery godziny, nie więcej.

Nie mógł mówić. Trzymali się w objęciach, tuląc się z dziką radością. Co chwila rozlegały się dźwięczne, skandaliczne odgłosy pocałunków. Niczem strzelanie korków szampana.

Staruszka wstała, poważna, ze zmarszczonymi brwiami. Jest tutaj zbyt ciężka! Niema co się ludzić!

Widząc, że wychodzi, wysunęła się Julisia z objęć kochanka i pobiegła ku niej, aby się wytłomaczyć.

— Widzisz sama, że przyjechał tylko na dwadzieścia cztery godziny... Dzisiaj niepodobna!.. Innym razem, Trzeba się zająć żywymi.

Staruszka znalazła się samotna na mroźnej, ciemnej ulicy. Latarnie, osłonięte ze względu na ataki powietrzne, podkreślały bardziej jeszcze skąpemii swojemi promykami światła mrok panujący dokoła.

Idąc, powtarzała te same wciąż słowa, niby litanję pacierza:

— Życie wymaga swojego. Żywi muszą żyć!.. Nieszczęśliwy ten, co umiera!.. O umarłych zapomina się prędzej, niż o żywych!..

Tak, wszyscy opuszczają zmarłych. I w sali kinematografu zauważyła tę samą niewdzięczność. Tego wieczora było niewiecej niż dwadzieścia osób. Publiczności przedmieścia sprzykrzyły się już przygody przesładowanej alzatki. Wszyscy znali już jej dzieje.

Staruszka usiadła na swoim miejscu z dostojeństwem króla, który rozkazałby odegrać przedstawienie dla siebie samego. Jak tylko pokazał się wnuk, szepnęła do niego cicho, w sobie:

— Dobry wieczór, mój jedyny! Wszyscy cię opuszczają, wszyscy o tobie zapominają. Takie już jest życie.. Ale nie bój się... twoja stara babka nie opuści cię nigdy. Będę tu przychodziła do ciebie co wieczór, co wieczór!..

IV

Wielka nowina zaczęła krążyć po południu, niepewna jeszcze i niezdeterminowana.

„Pokój!.. zawarty został pokój“!

Ale wiadomość tę podawano tyle razy, a potem nie sprawdzała się, nic dziwnego, że staruszka nie uwierzyła na razie.

Jednakże, ku wieczorowi, przekonali się wszyscy o jej prawdziwości. Rząd ogłosił wiadomość o zawieszeniu broni, o które prosił nieprzyjaciel.

Lawina ciał ludzkich, zdająca się toczyć ku środkowi Paryża, pochłonęła nagle i porwała za sobą straganiarkę. Jak wszystkich ogarnęła i biedną starowinę radość szalona i wraz ze wszystkimi nie przestawała i ona wydawać okrzyków triumfu..

Aż do zupełnego zapadnięcia zmierzchu żyła jak gdyby we śnie, zdawało jej się, że goni jakąś marę nieziszczalną, ale mara ta nie miała w sobie żadnej grozy, a uczucie, jakiego doświadczała, nie było strachem, ale entuzjazmem.

Ujrzała się na placu Zgody. Tłum, ryczący pieśni patriotyczne, ciągnął armaty, zabrane Niemcom i wystawione na wielkim placu.

Grupa gawroszów podsadziła starą na jedną z tych armat, jak gdyby na wóz triumfalny i zaczęła obwozić ciężką sztukę po pobliskich ulicach.

11)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

(D o k o Ń c z e n i e)

Nie trzeba myśleć (powiada mu) o tych wszystkich mądrych rzeczach. Ja jestem w zgodzie sama ze sobą, a reszta to złudzenie. Wyrastam przed tobą z pod ziemi, jak jabłoń, wyciągając ku tobie owoce mych piersi. Jestem piękna i potężna w swoim czarze, a uściski moje dają zdrowie. Patrzysz na mnie przez pryzmat twoich ksiąg bezpotrzebnych. Otóż ja jestem prosta, mój kochany, ale całe moje jestestwo tym jest ruchem, który działa, a robi to z impetem, który jest zniewalający. Słuchaj mię, w miłości mojej świeci wieczne, niezachodzące słońce. Wszystkie pożądanja wielkie i małe, znajdują drogę ku źródłu swemu. Ciało moje jest ogrodem różanych krzaków krwi, słodszych niż raj—usta me lipkie od pasowej słodyczy wisien i wonne, jak płatek róży—ramiona moje są grobem trosk—mój...

Bierz i milcz! nikt nas nie widzi, noc zapełniła cały przestwór błędny—złote gwiazdy kochają się w niebiosach—rozkoszne wiatry muszczą moje nagie rozpalone ciało.—Całe życie skupiło się w oczekiwaniu, a cała miłość czeka, aby cię pochłonąć.

Oto jest Kobieta—Żywioł, która jest Kobieta—Potęgą, bo w nią wcieliła się wielka siła przyrody: instynkt rozsiewania i mnożenia życia i moc dawania rozkoszy, tej, co podnosi falę życia wysoko, sprwadza jego przypływ i kompensuje cierpienie bytu. Potęga ta, jest triumfującą w szczęśliwym, dostojnym macierzyństwie.

Takim jest nowy ideał kobiety, wniesiony do literatury przez Verhaerena — ideał w trzech osobach: Wieczna Kobiectwość (L'éternelle) — Wielka Matka (Ewa w poemacie Raj) i Kochanka (l'Amante).

(L'amante).

Marzenie moje żegluję ku wyspie pływającej. Złote sznury wiatrów złożyły je w sieć swoją i ciągną na daleką świetność morza ku wyspie wędrowniej, gdzie rosną wielkie kwiaty i śpiewają ptaki rajskie. Pył zapładniający, zgromadzony nadmiernie, napiął, jak łuk do strzału, pręciki kwiatowe. Goręca róża, uwite z ognistych płatków. Żądza ciężka i olbrzymia, zdaje się skakać po powietrzu. Białe magnolie są ucieleśnionym pocałunkiem, a zapach lilij stał się tchem powietrza. Piwonje, jak wielkie krwawe serca, palą się wśród blasku—powietrze zdyszane jest od miłości, a powiewy jego splatają się

ze sobą. Cień ma gorącość łona pod policzkiem. Szerokie krople niezmordowanie ściekają z gałęzi—a róże i irysy mdleją na łożu błękitnych fijołków. Popłynęłam ku wyspie jaskrawej od liści winogrodu i szkarłatnych jego winogron. Drzewa krwawią się od nich, a ich zwisłe gałęzie powiewają zdaleka, jak chorągwie słońca. Piers wdycha szczęście z gwałtownością nagłych pożarów. Wieczorem widać gryzące się kwiaty, a od pochodni nocnych zapala się milczenie. Czy przyjdiesz tu kiedy, o ty, którą wzywają moje zaklęcia głębia szarego horyzontu i wybladłego morza, ty, której głodne jest serce moje od czasów niepamiętnych gorzkiego i buntowniczego mego dzieciństwa.—Wyspa moja jest ze wspaniałością twą w harmonji. Gdziekolwiek się znajdujesz, przyjm poselstwo tych białych pomarańcz, których wonie wędrowne udały się do ciebie błagać bezprzykładną twą piękność i potęgę twoją.

Przybądź! a będziemy nad świat wywyższeni — po nad tę ziemię, lasy, i niebo to płomienne. Wszczęświat stanie się moim, gdy posiędę twoje...

Oczy błękitnych stawów i kwiatów w ekstazie patrzeć będą na przecho-dzącą mimo parę naszych piękności — ptaki, udjamentowane słońcem południowem, wyiskrzają powietrze, jak wdzięczne klejnoty. Zanurzymy się całym jestestwem naszym w głębokich źródłach życia, aż dnia jednego w naszych zlanych ze sobą duchach, usłyszymy śpiew wszystkich Potęg świata.

Oddawna już szło po świecie hasło: „wyzwólmy miłość“. Wypuścimy na świat rajskie ptaki rozkoszy z poza rdzawych krat, za którymi więziło je ponure średniowiecze, barbarzyński kult cierpienia, wróg słoneczności helleńskiej, wróg życia z jego mniszą hipokryzją. Verhaeren jeśli nie pierwszy, to pierwszy z sugestjonującą mocą wielkiego talentu zagrał na swojej potężnej harfie pieśń triumfatorską wyzwolonej Afrodite. A czerwony ton jego Eternelle i Amante, pochwyliła skwapliwie cała orkiestra piór, we wszystkich literaturach. Na wszystkich lirykach zaśpiewała teraz miłość żywiołowa, orgjacka.

Wyzwolenie z miłości, mówiąc nawiasem, stało się bardzo prędko gloryfikacją i jakąś farsową propagandą prostego zwierzęcego instynktu, który,

aby istnieć, żadnych zachęt nigdy nie potrzebował! — i niema obawy, aby w jakiegokolwiek epoce działa mu się krzywdą! Wszelkie średniowieczne klauzule i rygory, nic a nic mu nie przeszkadzały w jego nieśmiertelnych zabiegach, że zaś nakładano na niego hamulce, które cokolwiek mitygowały jego rozpęd i że stawiano mu przeszkody, zmuszające go do pewnej powściągliwości, to było niezmiernie pożyteczne dla wyższych interesów człowieczeństwa. Apoteoza instynktu doprowadziła do bardzo smutnych nieporozumień i karykatur w literaturze i w życiu. Niechże odpowiedzialność za to nie spada na wielkiego Verhaerena! Jego bujna, gigantyczna organizacja skłonna była do gwałtownych burz temperamentu, wyzwalających się w orgji. Ale to nie wyczerpywało potencji jego natury. W wielkiej harfie Verhaerenowskiego serca, była to jedna tylko struna niskiego basu, który ma tembr zwierzęcy. Ale strun tych było tak wiele, że przebiegały po nich wszystkie wzruszenia gammy miłosnej, aż do nut najwyższych w rejestrze.

ZAKOŃCZENIE.

Verhaeren kilka kartek poświęcił namiętności—o miłości, napisał trzy tomy: „Jasne Godziny“ dedykowane „Tej, która żyje u mego boku“.

„Żywiołowa Kobieta“ nowy ton, który Verhaeren wprowadził do erotyki światowej, znalazła ongi bardzo chętny odzew i w literaturze naszej około 1900 roku, wywołując tak zwaną „epokę Przybyszewskiego“, „epokę Chimery“.

Czas zaczerpnąć z innego źródła!... Miłość w Jasnych Godzinach wprowadza także ton nowy... To nie jest miłość Dantejska, miłość Platońska, która, ciałem wzgardziwszy, przypina sobie skrzydła, aby się wyanielić!

Miłość w jasnych godzinach jest ludzka... — ale z tą cechą istotnie człowieczą, że wszystko się uduchownia—uduchownia ciało i jego fizjologję...

Ci, którzy znajdują się obecnie w tej szczęśliwej epoce życia, o której tak pięknie mówi święty Augustyn. „Nic-em nie kochał, tylko miłość kochałem — a miłość kochając, coby ukochać, szukałem“ (Nondum amabam, sed amore amabam — et amans amore, quod — amare quaerebam) — niech modelują uczucia swoje na Jasnych Godzinach — niech im ta książka będzie szkołą miłości.

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 26)

Już w czasie słabości swojej, Fryderyk, z egoizmem właściwym chorym, zaczął poddawać się z pewną rozkoszą słodkiemu przeświadczeniu, że jest wielbiony, jak bóstwo, a psuty, jak dziecko. Przyzwyczajony do hołdów i uwielbień, przyjmował zresztą trud i poświęcenie żony, jak należną dań. Ale nieszczęście, samotność, smutek, nawiązały głębsze nici między małżeństwem, on był oddawna dla niej całym światem, a teraz przyszła i na niego kolej poznania, że oto opuszczają go wszyscy, świat pójdzie swoim torem, zapominając o straceńcu, który będzie się zmagał w samotności ze swym ciężkim losem, a pozostanie mu ta jedyna, prawdziwa polowa jego duszy i sama „myśl, że jest na świecie istota tak niepodzielnie mu oddana“ będzie dlań niewysłowioną pociechą i pokrzepieniem.

I będzie za nią tęsknił.

Będzie od niej czekał osłody w najbłahszych drobiazgach życia, ale również złoży w jej ręce bez namysłu swój honor, wiedząc, że nie zdradzi go nawet za cenę — jego własnego życia.

Kiedyś przejrzy jeszcze jaśniej i jej wartość i swoją wielką wobec niej przewinę, zechce ukłęknać przed nią, jak przed świętą, i ucałować jej nogi, ale wtedy będzie już za późno!...

Teraz, równolegle z ponurym procesem, snuje się cicha więzienna idylla serdecznej wymiany myśli, ulubionych rojeń o przyszłości, któremi jedno drugie pociesza, choć może samo w nie nie wierzy.

— „Niczego więcej nie pragnę, jak przeżyć u twego boku wiele pogodnych, cichych dni. Doczekamy ich jeszcze, moja droga, doczekamy.“

Kiedy go wypuszczają — fantazjuje — zamieszka na wsi i odda się gospodarstwu. „Wiem, że projekt mój zgodny jest zupełnie z twymi upodobaniami i to mu przyczyni powabu w moich oczach.“

Usczęśliwić twoje przyszłe dni, będzie najśłodsze staraniem mego serca.“

Jak długo, jak beznadziejnie długo, czekała biedna kobieta na te słodkie słowa!

Kiedy teraz mąż, w którym nie zgasł dawny „charmeur“, wytworzył jej komplementem pochlebi, rumieni się biedactwo, jak młoda dziewczyna i dziękuje mu z wylaniem, które świadczy, jak mało była do tych względów przyzwyczajona.

Gdy mąż zatroska się o jej zdrowie, wdzięczna tkliwość przepełnia jej serce:

„O Boże mój! Jakżebym chętnie wzięła na siebie wszystkie choroby i bóle, gdybym tobie przez to ulżyć mogła.“

„Jakże boli mnie serce, gdy wiem, że tobie gorzej, a ja nie mogę przybiec do twego wezgłowia, aby cię pielęgnować!“

„Jedyna moja pociecha, jedyna ulga w smutku, to te wszystkie drobiazgi, któremi ci się mogę przysłużyć!“ — Mąż wie o tem dobrze i pisze, dawszy jej rozmaite polecenia: „masz oto pole obfite do krzątania się dla mnie, wiem, że ci to radość sprawia, a największym moim smutkiem jest, że tak mało mogę zrobić dla uszczęśliwienia ciebie. „Prześlij mi słodycze, które lubię.“ A gdy Teresa śpieszy wybrać, co najlepsze, chory grymasi, jak dziecko: to mu kompot za słodki, to zanadto korzenny.

Gdy mąż zażąda trochę wina, Teresa przetrząsa wszystkie piwnice w Medjolanie, gdy pragnie kawy, sprwadza ją z Wenecji i z Trjestu, aby po długich próbach trafić na prawdziwie aromatyczny gatunek, z ogrodów na wsi posyła mu najdojrzalsze renklody i brzoskwinię.

Nie może nastarczyć książek, Fryderyk w nocach bezsennych „pożera całe biblioteki“. Szczęśliwa, jeśli jej starania przyniosą trochę ulgi ukochanemu biedakowi i gdy jej wyzna: „Listy Twoje i książki, od ciebie również pochodzące, to jedyny balsam mojej samotności.“

Święta, imieniny, rocznice, obchodzą teraz oboje z rzewną i bolesną czułością. W rocznicę 17-tą ślubu: 13 października 1823 ona mu posyła, sentymentalnym obyczajem epoki, pukiel włosów, który on wraz z jej minjaturą „na sercu chowa“.

— „Ja nie mam ci nic do dania, moja droga, ale nic jest czasem tak wymowne, jak milczenie. Wiem, że jedno i drugie przemówi serdecznie do twojej duszy, w ten nasz dzień.“

Kiedy wreszcie zbliża się chwila widzenia, Fryderyk zastanawia się, czy dobrze będzie, jeśli to wstrząśnienie radosne obudzi go z letargicznego snu, w jaki udało mu się ukołysać duszę, „na wzór zwierząt, przesipiających zimę“ i czy wzruszenie nie naruszy hartu, tak bardzo mu potrzebnego?

Potrzebował go w istocie, bo natychmiast po odwiedzinach niewidzianej od roku żony, „piekielny“ Salvotti wziął go na siedmiogodzinną indagację, licząc, że wzruszonego prędzej ugnie i z równowagi wyprowadzi.

Proces zbliżał się do tragicznego rozwiązania. Teresa, tak opanowana i prawie wesoła wobec męża, w listach do starego przyjaciela, hr. Porro, który szczęśliwie schronił się do Szwajcarii, daje folgę swemu bólom:

„Krew mi zastyga w żyłach, gdy patrzę w przyszłość. Szczegóły tego procesu są takie, że cokolwiekbyście mogli sobie wyobrazić, będzie jeszcze dalekie od rzeczywistości. Jedenastu młodych studentów z Pawji skazano na śmierć. Cesarz ulaskawił ich, ale na długie więzienie w kajdanach“.

Zdrowie jej szwankuje: cierpienia wątroby, gorączka zaczynają ją nękać.

„Ale co to znaczy! — wybucha. — Aby mogła życie stracić, a zato uwolnić i uratować mego męża!“

Fryderyk również zapadał na zdrowiu. Do pierwotnej, niewyleczonej jeszcze choroby sercowej dołączył się reumatyzm, nabyty w murach więziennych. Naprężenie nerwów wskutek męczącego śledztwa (siedemdziesiąt dwa przesłuchań, dziewięć konfrontacji, a Salvotti przesłuchiwał czasem po 7 godzin bez przerwy) „hermetyczne“ zamknięcie, zupełny brak ruchu, „tego ruchu, który jest zasadą i fundamentem życia“, spowodowały wreszcie u więźnia ataki nerwowe, podobne do epileptycznych. Mdlął i czasem przez godzinę nie można się go było docucić; sztywniał cały, a potem pozostawał mu w ręce prawej bezwład, niedozwalający pisać.

Pani Teresa, która po długich zabiegach doprosiła się wreszcie odwiedzenia chorego, była przerażona jego mizernym wyglądem, żółtą cerą i ogromnem osłabieniem, jakie napróżno starał się ukryć przed okiem kochającej kobiety „znającej jego organizm lepiej od wszystkich lekarzy“.

Serce jej się kraje, gdy musi odejść od niego. Myśli, jak o szczęściu największem, o uzyskaniu pozwolenia, by dzielić więzienie męża. Oddawna już nie śmie ludzić się nadzieją, aby oskarżonego zupełnie uwolniono.

O tem najstraszniejszym, o czem nikt jej nawet szepnąć nie chce, mówi już głośno cały Medjolan.



8)

CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Fizyczne, psychiczne, społeczne, historyczne i estetyczne środowisko, w jakim upływa okres dziecięctwa, oddziaływała też w znacznym stopniu na charakter gier i zabaw dziecięcych. Słowem, konkluduje Colozza — zabawy dziecka — to mikrokosm, mieszczący w sobie niemal wszystkie składniki życia: miłość własną, wiarę w samego siebie, męstwo, domyślność, przenikliwość, instynkt władczy, instynkt posłuszeństwa. Zabawa — to praca dziecka, jego zawód, jego współżycie społeczne.

Znamiennym ze stanowiska pedagogiki jest fakt, że idjoci nie bawią się, a najmędrsi z ludzi nie są dostatecznie mądrzy, aby móc kierować zabawami dziecięcymi. Automatyzm naśladowców Froebła, niedocenywanie, a nawet lekceważenie przez nich samostnej twórczości i pomysłowości dziecka, nadające specyficzny charakter dzisiejszym ogródkom dziecięcym, fetyszym podarunków, dochodzący do niedorzecznego kultu wystrojonych lalek, karykaturalna nienaturalność żołnierzyków ołowianych, fatalny zbytek wspaniałych zabawek dzieci sfer zamożnych, oraz niewolnicze naśladownictwo — wszystko to — słusznym zdaniem Colozzy — są wrogowie wychowawczego celu zabawy. Zabawie, we właściwym znaczeniu tego wyrazu, potrzebny jest nieustanny ruch, życie, naturalność, pomysłowość oryginalna, twórczość, słowem wszystkie czynniki postępu i rozwoju istnienia i działalności człowieka.

Wniosek ostateczny, do jakiego, na podstawie bacznej obserwacji i krytycznego rozważania zabaw dziecięcych, dochodzi znakomity pedolog włoski, streszcza on w następującym aksjomacie: maximum samostności dziecka i minimum interwencji dorosłych.

Idea wychowywania dziecka drogą zabawy przyświeca też Paoli Lombroso, która w pracy swojej: „Studia nad psychologią dziecka” („Saggi di psicologia del bambino”) wypowiada pogląd, że zabawa tak samo nieodzowna jest do rozwoju dziecka, jak liście morwowego drzewa dla jedwabnika, któremu służą one za pokarm jedyny. Zabawa — powiada ona — jest najoryginalniejszym tworem geniusza dziecięcego; ażeby przyswoić sobie całe mnóstwo przytłaczających je wrażeń wciąż nowych, nowych uczuć i kalejdoskopicznie nasuwających się wypadków, musi dziecko pomyśleć o nich, rozpatrzyć je wszechstronnie, stać się ich odtwórcą i zarazem główną osobą działającą; — wszystko to osiąga ono za pośrednictwem zabawy.

Zabawa stanowi dla dziecka rodzaj gimnastyki, przyczyniającej się do jego rozwoju, nie męcząc go przytem. W niej daje ono pełny upust swojej samostności, występującej w najwcześniejszym już okresie dziecięctwa, swojemu instynktowi naśladownictwa, fantazji swojej, całej swojej sile żywotnej. Ruchy podczas zabawy, które na pozór zdawać mogłyby się nieprodukcyjną utratą sił, w rzeczywistości przyczyniają się do szybkiego oddychania i tym sposobem ćwiczą system mięśniowy i oddechowy — i to wszystko w sposób najmniej męczący. Zabawa jest więc niejako przygotowaniem gruntu, i dlatego staje się zbędną wraz z dojrzałością, kiedy grunt (dusza) już uprawiony jest do przyjęcia ziarna.

Ponieważ istnieją zabawy, szczególnie sprzyjające rozwojowi sprawności mięśniowej, dzielności umysłowej, zmysłu naśladowczego, wyobraźni i wynalazczości, pamięci i mowy — zadaje Paola Lombroso pytanie, czy nie należałoby wypróbować w szkołach metody nauczania za pomocą gier i zabaw, co dałoby dzieciom — obok czysto fizycznej przyjemności — i czysto duchowe zarazem zadowolenie. Pojęcia układałyby się w mózgach dziecięcych w sposób żywy i świeży, daleki od suchego i nudnego wyuczania się ich na pamięć. Podobną próbę usiłowano też przeprowadzić — jak wspomina pedagog francuski, Perez, w jednej ze szkół jego kraju. Konieczność interwencji dorosłych w tym wypadku uniemożliwia wszakże bezpośredniość zabawy i tem wypacza jej charakter.

Wobec doniosłego znaczenia, jakie ma dla rozwoju dziecka towarzystwo rówieśników, usiłowano od dawna już organizować t. zw. szkolki zabaw. Już 1881 r. podał Basedow w swojej „Książce metod” („Methodenbuch”) projekt, aby kilka rozsądnych rodzin zbierało się często w interesie lepszego wychowywania swoich dzieci, aby omawiało przytem rozmaite środki pedagogiczne i gromadziło dzieci do wspólnej zabawy. W 1805 r. skierował Wolke w klasycznym dziele swoim „Nauka wychowania” („Erziehungslehre”) apel do matek, proponując im, aby kolejno jedna z nich brała pod wyłączny swój nadzór i opiekę dzieci wszystkich sąsiadek z poblizka, od rana do wieczora. Korzyść z tego miała być podwójna: towa-

ryzystwo rówieśników dla dzieci, a także ułatwienie życia matkom. Bowiemy jeśli kilkanaście matek złączy się dla tego celu, będzie każda z nich musiała tylko przez jeden dzień w ciągu kilkunastu, poświęcić się całkowicie dzieciom. Czas pozostały zużyć będzie mogła na nieskrępowane niczem oddanie się pracy domowej czy zawodowej, co zwłaszcza dla kobiet zarobkujących z wielką byłoby korzyścią.

Praktycznie została myśl wspólnych miejsc zabaw dziecięcych, przeprowadzona po raz pierwszy w końcu 18-go stulecia w Holandji, gdzie urządzono pierwsze szkoły zabaw, w których po dziesięciorgo lub więcej małych rówieśników łączono do wspólnego bawienia się w ogrodzie, lub w dużej izbie pod nadzorem jednej z matek lub specjalnie umówionej starszej, nieskrępowanej domowymi zajęciami, kobiety. Z Holandji myśl takich szkółek zabaw przeszczepiona została do Niemiec, gdzie w następstwie rozwinęła się w zapoczątkowane przez Froebła ogródki dziecięce

Wszystkie one wychodziły z założenia, że najskuteczniejszym czynnikiem rozwoju dziecka jest zabawa i towarzystwo rówieśników.

Teraz, po zapoznaniu się z powyższe przytoczonymi poglądami wybitniejszych pedagogów i pedologów, nasuwa się najdonioślejsza z natury rzeczy kwestja wskazań praktycznych, jakie z teorii tych wysnuć należy.

Czyni to za nas wspomniany już w jednym z artykułów poprzednich, pedolog niemiecki, Johannes Prüfer, który w dziele swoim „Pedagogika małych dzieci” („Kleinkinder—Pädagogik”) specjalny dział sprawie tej poświęca:

Największe — podług niego — znaczenie wychowawcze zabawy polega na tem, że dziecko, o ile może bawić się swobodnie od najwcześniejszego okresu i tym sposobem bez przeszkody jawić na zewnątrz treść duszy własnej, na jedynie właściwej jest drodze pełnego rozwinięcia uzdolnień swoich i swojej indywidualności. W co dzieci się bawią, jest w gruncie rzeczy obojętne. Główną jest rzeczą, aby się naprawdę bawiły, aby — mówiąc językiem Froebła — uzewnętrzniały wewnętrzną treść swoją. Dziecko, któremu dano od najwcześniejszego okresu możliwość bawienia się dowoli, przywyknie i w wieku późniejszym dawać wyraz wszystkim porywom własnej duszy, promieniować na życie zewnętrzne i życie własne, duchowe, i tym sposobem stać się czynną, samostną indywidualnością.

(c. d. n.)

Emilja Tecka.



Z MARTYROLOGJI PAŁACU STASZYCA

Kiedy przed laty powstała w mózgu potwora-dusiciela oświaty naszych wnuków i dzieci, Apuchtina, myśli przebudowy Pałacu Staszycy — ówczesny generał gubernator, satrapa—renegat Hurko*) wielce się ucieszył i postanowił bezzwłocznie dokonać tego wandalizmu. Sporządzono plany architektoniczne i przesłano do ministra spraw wewnętrznych do Petersburga. W oczekiwaniu rychłej odpowiedzi ustawiono rusztowania. Odpowiedź jakoś nie nadchodziła i rusztowania stały w oczekiwaniu, jak wielu z nas żyjących pamięta, przeszło dwa lata!...

* * *

Na rogu Wozniesieńskiego Prospektu, tuż przy Izmajłowskim moście, w Petersburgu, w wielkiej kamienicy, zamieszkiwał rzeczywisty radca Stanu inż. Antoni Nowicki, v. dyrektor departamentu budowlanego min. spraw wew. Był to stary kawaler, wysokiej kultury i inteligencji człowiek, wielce sympatyczny, znany w szerokich, petersburskich kołach. W jego obszernej mieszkanie, co czwartek, zbierało się bardzo wiele osób. Przyjęcie trwało od piątej popołudniu—nieraz do późnego wieczora. Znałem się z nim kilkanaście lat i prawie za każdym razem, będąc w Petersburgu, odwiedzałem go. Często kolega Domachowski przypominał podczas obiadu:

— Dziś czwartek, może poszlibyśmy do Antosia Nowickiego?

I chodziliśmy, zawsze serdecznie i mile widziani.

Gospodarz przeważnie siadywał w olbrzymim gabinecie, w głębokim fotelu, a na otomanie i wielu fotelach siedzieli goście, wysocy dygnitarze cywilni i wojskowi, czasem zabłąkała się jakaś dama, żona dygnitarza lub nawet przyjaciółka...

W innych pokojach tworzyły się grupki gości, lub pary flirtujące... Dziwny konglomerat tworzyło zbierające się tam towarzystwo: obok generała gubernatorów, marszałków szlachty, prezesów najpoważniejszych instytucyj i dyrektorów dróg żelaznych, spotykało się tam różne damy—rozwódki, separatki—pseudo — artystki, a przeważnie histeryczki.

W jednym salonie towarzystwo, złożone z kilku dam i wysokich urzędników zaśmiewało się z anegdotek opowiadanych przez Domachowskiego, arcy-mistrza w tej specjałności...

*) Włodzimierz Hurko, był tak zaciekle, że chcąc zatrzeć resztki śladów swego polskiego pochodzenia, zabronił drukować swego nazwiska przez *H*, tylko przez *G* i rozkazał, aby cenzura śledziła za tem jak najskrupulatniej.

W buduarze jedna z histeryczek grała na pianinie lub półgłosem śpiewała najmodniejsze pieśni cygańskie. Tu znów grupa poważnych śledzienników, z minami marabutów, ubolewała nad wolnością prasy i dziwiła się, że nie wprowadzają rewolucyjnej cenzury, aby na koniec nałożyć „namordniki” (kagańce) stołecznym, rozwidrzonym dziennikarzom, ośmielającym się krytykować działalność gubernatorów i różnych urzędów...

W małym pokoiku, w dyskretnym półmroku, wytworzonym przez czerwone abażury, gruchało po kątach kilka par.

Ciemny brunet, średnich lat, jakiś wyższy wojskowy, emablował rozwódkę czy separatkę, wielce powabnej powierzchowności. Młodzieniec był w białej czerkiesce, opasany pasem ze srebrnych, czernionych ogniw, z ogromnym kindziałem za pasem. Olbrzymia, biała barankowa „papacha” (bermyca) leżała na posadzce, przy jego nogach.

Ciemieńczy Kaukazu, spełniający tam służbę, przywdziewali malowniczy strój Gruzinów, a niektórzy nawet udawali potomków książąt Imerytji lub Mingrelji.

Uroczy pseudo-Gruzin widocznie w swoim emablunku przeholował, albowiem jego partnerka z gniewem wyrzekła:

— Nacha! — i przesiadła się na kozetkę, gdzie siedział łysy starszek (przezwany z powodu zupełnie gołej głowy „Arbuzek”) z jakąś damą niewiomego stanowiska, który wyrażał swoje żale, że dotąd nie został jeszcze „ekscelencją”.

Służący we fraku i białym krawacie rozosił na tacy herbatę, nadstawiając damom w filiżankach i ponom w szklankach, za nim poważnie kroczyła młoda, przystojna służąca—chłopka, wysokiego wzrostu, we wzorzystym, żółtoczerwonym, perkalowym „sarafanie”, na głowie miała tak zw. „powiazkę”), t. j. czarną, jedwabną chustkę, szczerlnie okalającą głowę, tak, że wcale nie widać było włosów. Długie, złote w wisiorkami kolczyki zdobiły jej uszy.

Była to gospodyni Nowickiego, Awdofja, niosąca na kloszach herbatniki, drobne ciasteczka, kryształowe spodeczki i miniaturowe serwetki.

Była bardzo uprzejmą nawet poufałą, częstowała, zapraszała i namawiała! Goście płci pięknej złośliwie się uśmiechały i szeptały, że Awdofja jest więcej niż gospodynią...

Oprócz tego, w jadalnym pokoju stał stół nakryty i bardzo obficie zastawiony smakołykami: na kryształowych paterach piętrzyły się najwy-

kwintniejsze owoce od Br. Jelesiejewych lub Smurowa, wyborowe cukierki od Balleta, czekoladki Krafta „słomka” od Kaczkurowa i torty od Berin lub Nazarowa, najprzedniejsze bakalie a między niemi... najordynarniejsze orzechy laskowe, cedrowe i... chleb S-tojański. Ten dziwny drugi w tym domu konglomerat owocowo-cukrowo-bakaljowy był wynikiem rządów Awdofji, która nawet w razie stłuczenia „baccaratów” umiała zastępować je spodkami z lanego szkła... Nowicki nie miał czasu zajmować się gospodarstwem domowym, polecił czasem w pierwszorzędnym sklepie i cukierniach przysłać mu to i tamto i na tem koniec. Goście przeważnie mieli dobry apetyt, przygotowane więc stopy zmniejszały się szybko; często nawet koniak i likiery raźnie „odchodziły”.

Każdy z przychodzących i odchodzących wstępował do gabinetu powitać i pożegnać gospodarza, a on zawsze uprzejmie słowa witał, a potem żegnał, dziękując za odwiedzinę. Pozostający zaś w gabinecie na rozmowie, byli to przyjezdni dygnitarze, przybyli do stolicy w celu przyspieszenia różnych swoich projektów, zwłaszcza w departamencie budowlanym i zachodzili złożyć szacunek Nowickiemu, zaskarbić jego względy i nieraz nawet prosić o przyspieszenie.

Niewątpliwie ani Hurko ani Apuchtin o tem nie wiedzieli. „Prywislinje” nie było wtajemniczone w te intymne stosunki...

Nowicki był człowiekiem wielkiej pracy, obowiązkowym, pedantycznie akuratywnym i bezwzględnie prawym i uczciwym. On to uporczywie hamował zatwierdzenie piekielnego projektu, żądając to zmian, to uzupełnień, to znów wyjaśnień i zatrzymując sprawę, jak się specjalnie nazywało w takich razach „pod sukmem”, mając nadzieję, że może w Polsce zmienią się rządy. Dopiero po jego przedwczesnej śmierci sprawa została załatwiona w przyspieszonym tempie i w pobliżu poważnej Świątyni S-go Krzyża ujrzałyśmy niesforną moskiewsko-bizantyjską polichromję, która jak ohydny trąd okryła ściany dawnego przybytku Tow. Przyjaciół Nauk, przypominając „podworje” to jest hotele przy monastyrach, posiadających relikwie „świętych ugodników” lub „czudotwornych ikony”, w których zatrzymują się przybywający pątnicy a zwłaszcza bogate „bohomołki” moskiewskie „kupczychy” niemiłosiernie wyzyskiwane przez pokornych i bogobojnych mnichów.

Dziesiątki lat tkwił ten cień nieustannie, jęcząc nasze rany prześladowań i upokorzeń, nareszcie niezbadane wyroki Przedwiecznego sprawiły, że Pałac Staszycy odrodzi się. Uplynie niewiele czasu, a ujrzymy go w dawnych kształtach i szatach i z zawołamy pełną piersią: Alleluja!

*) Powiazkę wolno nosić tylko zamężnym lub wdowom—dziewczętom jest zabroniona.

WSPOMNIENIA

I REFLEKSJE

Z powodu jubileuszu M. Cz. Przewóskiej.

Przed laty — nie mówmy! ilu — spotykałam w ogrodzie Saskim stale, idąc do pracy, drobną, szczupłą pаниenkę o delikatnych, jak w kamei rzeźbionych rysach, ciemno piwnych rozmarzonych oczach i zwichrzonej pod rondem kapelusza, czarnej czuprynce.

Było coś uroczego w kształtnej, harmonijnej figurce. Ani jednej linii zbędnej, ani jednego rozdźwięku.

— Kto jesteś, śliczny filigranowy posążku? Szkoda twoich drobnych nóżek na dreptanie codzienne — pewnie po lekcjach, bo stale o jednej porze. W kryształową gablotkę cię wstawić i patrzeć na ciebie...

Po pewnym czasie śliczne zjawisko pierzchło, jak pierzchła wiosna. Przestałam spotykać czarnowłosą pаниenkę. Porwał ją pewnie rycerz błękitny, poniósł w zaczarowane krainy.

Dzienniki polskie w latach 80-ych czy 90-ych przyniosły wiadomość o młodej filozofce polskiej, studjującej okultyzm w Paryżu. Nazwisko maga Sâr Pelladana obok jej nazwiska. W powieściach jednej z najwybitniejszych naszych autorek współczesnych, pojawił się prawie równocześnie typ ślicznej polskiej studentki w Paryżu, w której zakochał się bohater — literat. Ktoś złączył z postacią studentki nazwisko młodej okultystki i przypuszczenie jako pewnik obiegło miasto.

W kilka lat później — na jakimś wiecu kobiecym — kazano mi przyjrzeć się osobie w którymś rzędzie krzeseł.

— To ta młoda okultystka z Paryża. Wróciła tylko co. Będzie przemawiała dzisiaj.

Przemawiała istotnie. Głos pełen swady pierwszy raz słyszany, ale postać, rysy twarzy, rozwichrzona czuprynka nad czołem jakieś dobrze, bardzo dobrze znane...

Skąd? Od kiedy?

Wtem jak błyskawica:

— Ah, to moja „śliczna“ z ogrodu. Więc nie porwał jej w zaczarowane krainy rycerz błękitny? Biedzi się, męczy nad filozofją i nad kwestją kobiecą, którą gwałtem chce ująć w syntezę, gdy ona wyłamuje się z pod całokształtu reguł. Kameleonowa, nieuchwytna, tylko w życiu realnym znajduje prawdziwie waży, twardy punkt oparcia, w wymogach bytu, który — mimo zwały przeszkód — pcha kobietę na wszystkie szczeble wiedzy, zawodów i pracy.

Kwestja kobieca, okultyzm, filozofja — to byli błękitni rycerze, którzy porwali młodość „ślicznej“ pаниenki.

Goniła chimere sławy literackiej Marja Czesława Przewóaska przez całe życie i spalała siebie na ołtarzu ofiarnym tej złydy.

Napisała pierwszą w Polsce książkę o Nietschem, której bezstronność podkreśliła dr. Z. Daszyńska-Golińska. O tej swojej pracy, jak również o książce „Z nowych dni“ wygłosiła autoreferat w Przeglądzie Filozoficznym (kwiecień 1891 r.). W 1910 r. miała odczyt na kongresie „de l'humanité“ w Paryżu „Kobieta i postępek ludzkości“. Powiedziano o nim w sprawozdaniu z kongresu, że był „d'une haute portée“. W 1920 r. na I Zjeździe naukowym w Polsce postawiła wniosek stworzenia katedry nauk filozoficzno-moralnych myśli polskiej na wszechnicach wolnej Polski, co zostało podkreślone w sprawozdaniach ze zjazdu. Napisała kilka prac z dziedziny historjofilji polskiej i broszurę „O medjumizmie i spirytyzmie“. Zajmuje się publicystyką. Tworzy wiersze pod pseudonimem „Helji“. Uderza zawsze w ton górny, ale książki jej są zawile i mgliste — dlatego mało czytane.

Wyraźniejsze były zawsze hasła pracy społecznej, które rzuciła. Niejedno z nich znalazło oddźwięk. Troska o byt podupadłych literatów, o wczasy tych, którzy pracują jeszcze, o możności leczenia się ich w polskich uzdrowiskach. Troska o moralne odrodzenie młodzieży.

Mglisty umysł i twarda walka o byt własny nie sprzyjały jednak aktywnemu czynu doraźnego. Ktoś inny zwykle chwycił jej pomysły i usiłował realizować je. Ale — że poczynania były dobre, hasła szlachetne, uczciwe, dalekie od kompromisowości — społeczeństwo umiało je ocenić.

W roku bieżącym odbył się w Towarzystwie Literatów i Dziennikarzy jubileusz M. Cz. Przewóskiej — poważny, przy bardzo liczny udział publiczności.

Jakże niewielu najzasłużeńszych naszych autorów i najdzielniejszych pracowników społecznych doznało tego dowodu życzliwości i uznania ze strony ogółu.

Z pośród kobiet w pierwszym rzędzie — nasze uczone, znane i tak bardzo cenione zagranicą, a tak w zacisze własnych gabinetów rzucone przez nas. Pracują dla nauki zawsze z myślą o Polsce, spalają się w ogniu ofiarnych realnych czynów społecznych. Ze wymienię choćby tylko nazwiska Dr. Zofji Daszyńskiej-Golińskiej, dr. Józefy Joteyko, dr. Józefy Kodisowej, dr. Michaliny Stefanowskiej...

Wie o nich świat uczonych belgijskich, francuskich, niemieckich. Drukują prace ich naukowe miesięczniki nasze i obce. Książki ich przypominają cudzoziemcom naukę polską. Cele i drogi ich są skryształowane, jasne, wyraźne. W twardej, mozolnej pracy i w gorzkiej walce o byt schodzi im życie.

Czy pomyślało społeczeństwo o podziękowaniu im za trud poniesiony?

C. W.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

WYCHOWANIE FIZYCZNE I SPORT.

Rozpoczynając nowy dział p. t. „Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet“ musimy przedewszystkiem porozumieć się z naszymi czytelniczkami co do ścisłego znaczenia tych pojęć.

Wyrazy sport, wychowanie fizyczne i t. p. często słyszymy i powtarzamy wszyscy. Mimo to jednak wiele osób ma o nich bardzo mętne pojęcie, a nawet nadaje im wprost mylne znaczenie.

Jakże często słyszałam wśród matek zdanie „po co w szkole jakieś tam wychowanie fizyczne, po co gimnastyka, dzieci i tak są aż nadto przepracowane“. Albo na letnisku: „jakże miłym sportem jest zbieranie grzybów“ (autentyczne).

Nie posądzając naszych czytelniczek o podobną — powiedzmy prosto — ignorancję, sądzę jednak, że nie będzie zbytecznym przypomnieć im, że wychowanie fizyczne nie jest jakimś przedmiotem szkolnym, którego można się uczyć, lub nie uczyć, a o którym wyszedłszy z ławek szkolnych można natychmiast zapomnieć.

Wychowanie fizyczne jest to niezbędny składnik ogólnej pracy wychowawczej czy nad dzieckiem, czy nad sobą, czy traktowanej szerzej jako praca, zmierzająca do odrodzenia pewnych grup ludzkich, lub całych narodów, wychowanie fizyczne dzieci w wieku przedszkolnym, młodzieży pracującej zawodowo, wojska i t. p.

Jako takie wychowanie fizyczne nie dlatego nazywa się fizycznym, że ma na celu jedynie cielesną stronę człowieka, a dlatego, że dąży do ogólnego rozwoju, do podniesienia wartości tak fizycznej, jak moralnej człowieka wyłącznie środkami fizycznymi.

I to jest olbrzymia różnica, o której nie wolno zapomnieć. Wychowanie fizyczne ma za cel równie dobrze zdrowie, zręczność i siłę, odporność przeciw chorobom i piękno, jak wyrobienie odwagi, zaradności, bystrości,

karność, solidarność, wytrzymałość na trud i ból, wesołość i czystość moralnej.

Trudno chyba wymieniać więcej cech tak niezbędnych, a tak mało niestety u nas rozpowszechnionych. W jaki sposób staramy się te rzeczy osiągnąć, mówić będziemy w dalszym ciągu.

Teraz o sporcie. — Dlaczego tak zatytułowaliśmy nasz dział, dlaczego chcę mówić osobno o nim? Przecież w skład wychowania fizycznego wchodzi równie dobrze gimnastyka, rytmika, gry i zabawy, kąpiele, spacery i wycieczki, zaznajomienie się z higieną i t. p.

Dlaczego wybieramy specjalnie sport? Wyróżniamy go dlatego, że jest on ozdobą, koroną, najwyższym szczeblem wychowania fizycznego (nie mówię celem). W odróżnieniu od zwykłych ćwiczeń gimnastycznych i innych zabiegów higienicznych ze sportem łączy się cały szereg wrażeń pięknych i podniosłych. Mknąc na nartach, wchłaniamy potęgę szczytów górskich i urok śnieżnych pól, na koniu upajamy się pędem powietrza i dzielnością tak szlachetnego zwierzęcia, wiosłując lub pływając, zaznajamiamy się z tajemniczą siłą niedostępną nam żywiu. Często występuje przy tem element ryzyka, walki i niebezpieczeństwa, który właśnie robi sport tak pociągającym.

Z niezrozumieniem znaczenia wychowania fizycznego i sportu najczęściej spotkać się można, gdy chodzi o wzajemny stosunek tego ostatniego do całości wychowania fizycznego.

Jakże często można się spotkać z rzeczą, wytykaną przez poważniejsze pisma sportowe i ludzi fachowych z anomalją, jaką jest sportsmen, pogardzający ćwiczeniami gimnastycznymi, pijący, palący, jednym słowem taki, który przez nieumiejętne lub wogóle niestosowanie racjonalnego trybu życia, a dążąc do rekordów, żetonów i nagród nabawia się wad organicznych, rozedmy płuc, nerwicy serca i t. p.

Odmianą anomalją jest dla mnie osoba, która istotnie dbając o swoje zdrowie latami gimnastykuje się, przestrzega zasad higieny i t. p., ale której nie przyświeca ta myśl, że dzięki temu zdobywa warunki, które umożliwiają jej zdobycie się na ten rozmach, na tę trochę odwagi, by samodzielnie umieć w razie potrzeby przepłynąć rzekę, lub poradzić sobie w górach, lub z koniem. — Jakże często widuje się dzieci z tych dobrze ułożonych, eleganckich, za które płacą duże sumy na kompletach rytmiki czy gimnastyki, którym troskliwe mamy nie pozwalają wejść na drzewo, lub stanąć bosą nogą na podłodze.

Z punktu widzenia wychowawczego, sport jest niejako próbą sił dziecka, jest przedewszystkiem nagrodą, do której ono dąży, nie rozumiejąc jeszcze potrzeby higienicznego

trybu życia, hartowania się i ćwiczeń gimnastycznych, niezbędnych samych przez się dla każdego, choćby nigdy sportsmenem nie miał zostać.

Naodwrot, dla sportsmena wychowanie fizyczne jest przygotowaniem, jest zapewnieniem maximum niezbędnej dla niego sprawności i odporności. Obie te rzeczy wiążą się ze sobą nierozdzielnie. Wychowanie fizyczne bez sportu jest monotonne i suche. Uprawianie sportu bez systematycznych zabiegów koło swego ciała nie tylko nie jest pożyteczne dla zdrowia, ale może być wręcz szkodliwe, pomijając już, że nigdy nie doprowadzi do wysokich rezultatów.

W dalszym ciągu naszych rozważań poruszać będziemy szczegółowo zagadnienia, które wychowanie fizyczne nastęrcza, różne jego działy. Dziś na zakończenie chciałabym zaznaczyć tylko jeszcze, że musi ono spoczywać w ręku ludzi fachowych i odpowiednio uzdolnionych (których u nas niestety bardzo jest jeszcze niewiele) ale że każda matka, wychowawczyni czy nauczycielka musi się z jego podstawami zapoznać, jeśli chce wychować zdrowe i dzielne dzieci, że każda kobieta, jeśli chce być długo młodą i zdrową, mieć lekkie ciążę i porody, dobrą figurę i cerę, lekkie i zgrabne ruchy, musi się gimnastykować, uprawiać sporty i stosować w życiu przepisy higieny.

Nie wystarczy wiedzieć, że zdrowo jest sypiać przy otwartym oknie, chodzić po kolacji na spacer, ślizgać się i pływać, ale zostawiać to dla mniej zajętych, młodszych, a raczej mniej... leniwych.

J. F.



KOBIETA O KOBIECIE.

Słynna pani de Pompadour miała już wielu biografów, którzy opisywali jej dzieje i starali się dociec „jakim sposobem piękna ta, a niezmiernie zręczna intrygantka potrafiła przez wiele lat z rządu trzymać w swych rączkach ster rządów królestwa francuskiego.

Ostatnie jednak dzieło o tej postaci historycznej wyszło przed kilku miesiącami z pod pióra kobiety, znanej autorki francuskiej, Marcelle Tinayre. Jestto książka pod tytułem „La vie amoureuse de Mme de Pompadour“. Krytyka francuska odzywa się o tem dziele naogół bardzo poch-

lebnie, podkreślając przytem trudność pisania na temat tak ogólnie znany i tyle razy już opracowywany przez najwybitniejszych historyków. M. Tinayre uniknęła szczęśliwie powtarzania rzeczy banalnych, ujęła swój temat raczej jako studjum psychologiczne, niż historyczną biografię. Uprzedza sama o tem swych czytelników we wstępie, nazywając książkę swą „wizerunkiem“, a siebie malarzem-portrecistą, którego zaciekawia pozujący mu model i który pragnąłby odmalować, po kobiecemu odczute, rysy kobiety. „W książce tej chciałabym wskrzesić przed oczyma moich czytelników wizję kobiety nieprzeciętnej, ale nie tej wielkiej polityczki, tylko przyjaciółki i kochanki króla, paryżanki w każdym calu, widzianej w jej codziennem, prywatnem życiu uczuciowem i rodzinnem: panią de Pompadour nie w galowym stroju dworskim, lecz w domowej sukience, subtelną, wytworną i pełną wdzięku, taką jak żyła i jaką umarła — z uśmiechem na ustach“.

P. Tinayre nie stara się na usprawiedliwienie swej bohaterki z ciężkich na niej wielu — słusznych zresztą — zarzutów. Oburza się jednak na jej wrogów, którzy, z hr. d'Argenson na czele, usiłowali po śmierci jej oczernić pamięć tej niezrównanej bądź co bądź kobiety całym szeregiem kłamstw. Zwłaszcza niesprawiedliwym, zdaniem biografki, jest zarzut oschłości, chciwości i braku serca. Pani de Pompadour — utrzymuje M. Tinayre, kochała króla naprawdę, cierpiała bardzo z powodu tego uczucia i dlatego można jej wybaczyć wiele — jeśli już nie wszystko.

RÓWNA PŁACA ZA RÓWNĄ PRACĘ

Pod tem hasłem odbył się w Londynie na Trafalgar Square olbrzymi meeting publiczny, zorganizowany przez stowarzyszenie nauczycielek angielskich. Przemawiały na tym wiecu posłanki do parlamentu, wiele wybitnych nauczycielek oraz p. Conway, przewodnicząca Stowarzyszenia Nauczycielek. Mówczynie protestowały przeciwko upośledzeniu kobiet, pracujących na polu pedagogicznem, żądały zniesienia istniejących ograniczeń, oraz domagały się zrównania w prawach pod względem zarobkowym, wysuwając jako hasło zasadę: „Za równą pracę — równa płaca“.

AUTOMOBILISTKI SZWAJCARSKIE.

W Kantonie Glarus (w Szwajcarii) kobiety otrzymały oficjalnie prawo trudnienia się zawodem szoferek, mianowicie prowadzenie dorożek automobilowych (t. zw. takso-metrów) i prywatnych samochodów, służących do przewożenia pasażerów. Jestto zatem nowy zawód otwarty dla kobiet. Istnieją już specjalne kursy szoferek, obznajmiające kobiety z prowadzeniem samochodów.

RUCH KOBIECY W HOLANDJI

Parlament holenderski uchwalił równe prawa obywatelskie dla kobiet w r. 1917. Rezultatem tego było obranie jeszcze w tym samym roku dwóch kobiet na posłów; obecnie jest ich już siedem. Należą one do różnych stronnictw politycznych.

Kobiety holenderskie pracują również we wszystkich prawie zawodach, Nestorką lekarek holenderskich jest dr. Aletta Jacobs, która ukończyła wydział medyczny w r. 1879, zwalczając uprzednio cały szereg trudności, przeszkód i ograniczeń. Tak np. musiała po roku studjów uniwersyteckich opuścić uczelnię, gdyż władze uniwersyteckie sprzeciwiły się dalszemu jej ucześnieczaniu na medycynę. Po kilku latach udało się jej zostać przyjętą na nowo i tym razem doprowadzić studja swoje do końca. Na zebraniach studenckich nie pozwolono jej jednak zabierać głosu, ani należeć do stowarzyszeń młodzieży uniwersyteckiej.

Po ukończeniu studjów karjera lekarska pani Jacobs była również przepełniona wszelkiego rodzaju trudnościami. Przy wykonywaniu swego zawodu musiała ona nie tylko zwalczać uprzedzenie społeczeństwa i kolegów — lekarzy, lecz ponadto kilkakrotnie wpadała w zatarg... z policją. Dwa razy była aresztowaną: raz za odwiedzenie pacjentki po 10-ej godzinie wieczorem (policjant uważał za niemożliwe, aby „przyzwoite” kobiety o tej porze pokazywały się na ulicach!), drugi raz za pójście do teatru bez towarzysztwa męskiego. W obydwóch wypadkach została odstawioną na posterunek policyjny pod zarzutem, że jest kobietą lekkich obyczajów.

Od tego czasu dużo zmieniło się w Holandji, i pani Jacobs, dziś siedemdziesięciokilkoletnia staruszka, z dumą spogląda na cały zastęp młodych swych koleżanek, którym nikt nie wzbrania oddawać się swobodnie zawodowi lekarskiemu — jednej z najszczytniejszych i może najbardziej odpowiednich dla kobiet profesji...

SYMFONICZNA ORKIESTRA KOBIECA

Miasto Filadelfja w Stanach Zjednoczonych posiada pierwszą w Ameryce orkiestrę symfoniczną, składającą się wyłącznie z samych kobiet. Założycielką tej orkiestry jest pani Mabel Swint Ewer; z jej to inicjatywy powstał ten zespół, liczący początkowo 30 członkiń, w roku 1921. W zeszłym roku orkiestra liczyła już 45 muzykantek, w tym roku zaś — siedemdziesiąt pięć. Dyrygentką jest utalentowana skrzypaczka amerykańska, p. Florence Haenle. Koncerty tej niewieściej orkiestry cieszą się w Fi-

ladelfji wielkim uznaniem i powodzeniem wśród muzykalnej publiczności.

AGITACJA WYBORCZA W STAROŻYTNEJ POMPEI

Czytamy w „Le Droit des Femmes” ciekawe sprawozdanie z odczytu, jaki miał uczony francuski, M. Fisserand, na temat: „Kobieta, a wybory do przedstawicielstwa narodowego w Pompei w r. 79 naszej ery”. Według zdania tego badacza, niewiasty pompejańskie brały bardzo żywy udział w agitacji przedwyborczej. Twierdzenie swe uczony archeolog popierał następującymi wywodami: Mury bardzo wielu domów w Pompei — co mówi pan Eisserand — pokryte są napisami, które były niczem innym, jak ówczesnymi... plakatami wyborczymi. Znaczna ilość tych odezwo podpisana jest imionami kobiecymi i świadczy o wysokim zrozumieniu i zainteresowaniu się sprawami publicznymi wśród starożytnych pompejanek. Niektóre odezwy noszą podpis męża i żony, a wtedy imię żony postawione jest na pierwszym miejscu — z czego widać, że pompejanom były dobrze znane wymagania kurtuzji dla dam.

Znajdują się także plakaty, podpisywane przez kobietę, po której nazwisku następuje szereg podpisów męskich — widocznie jej stronników. Po szczegółowym zbadaniu podpisów, p. Fisserand doszedł do przekonania, że figurują wśród nich prawie nazwiska kobiet, nie należących do wyższych klas społeczeństwa, z czego wnioskuje on, że damy z arystokracji nie lubiły brać udziału w agitacjach wyborczych. Znalazł on jednakże i kilka podpisów arystokratek, agitujących za kandydaturami swoich synów.

Z. B.

W SPRAWIE WYŻSZYCH KURSÓW DLA KOBIEC IM. BARANIECKIEGO.

W okresie przedwojennym, a ściślej biorąc w okresie ostatnich lat ubiegłego stulecia i na początku w. XX — Kursy im. Baranieckiego cieszyły się w społeczeństwie polskim zasłużoną sławą. Zdążyły do tej uczelni szeregi kobiet z trzech zaborów, a znajdowały w jej murach nie tylko zacną atmosferę, przepojoną szlachetnym duchem obywatelskim — ale i wysoki poziom nauk, — otwierający przed niejedną ze słuchaczek drogę do samodzielnej, planowej pracy umysłowej. Toteż liczny zastęp wychowanek Kursów im. Bar-

nieckiego — odegrał poważną rolę w życiu umysłowym polskiego świata kobiecego. Istotnie, powołana do życia przez dr. Adrijana Baranieckiego pierwsza wyższa uczelnia dla kobiet w Polsce była w swoim czasie dziełem prawdziwego postępu i myśli obywatelskiej.

Adrijan Baraniecki, Podolanin — Dr. medycyny — człowiek wielkiego wykształcenia, niepospolitych zdolności i charakteru, — gorący patriota — po powstaniu 1863 r., w którym brał wybitny udział, emigrował do Francji i Anglii. Gdy po powrocie osiadł w Krakowie, chciał tu nowe wprowadzić kierunki. Starł się o rozwój rzemiosł i przemysłu rodzimego i założył już w roku 1867 muzeum techniczno-przemysłowe, które do dziś trwa i rozwija się, nosząc jego miano. Założył też pierwsze kursy handlowe męskie, ale nie znajdując poparcia materialnego, mimo znacznej ilości uczniów, musiał je zwinąć. Urządzał też w tym czasie popularne wykłady naukowe, a widząc liczny napływ kobiet, i rozumiejąc, że na kulturę społeczeństwa można wpłynąć tylko przez kobiety, odpowiednio kształcone, otworzył w roku 1870 specjalne dla kobiet kursy naukowe, które pod jego nazwiskiem dotrwały do dziś. Były to kursy roczne, — obejmowały działy: historyczno-literacki, przyrodniczy, artystyczny i gospodarczy. Po śmierci ś. p. D-ra Baranieckiego w roku 1892 przedstawiciel gminy miasta Krakowa, której zakłady Baranieckiego zostały oddane w opiekę — nad jego grobem imieniem gminy przyrzekł, że kursy będą utrzymywane i subwencjonowane przez miasto, co też stałe spełniano. Mimo to, w pierwszych latach po śmierci założyciela chyliły się do upadku. Wybrany w roku 1893 na stanowisko dyrektora prof. Uniw. Jag. Dr. Józef Rostafiński, zorganizował je na nowo, zamienił na dwuletnie, wprowadził z czasem, prócz istniejących wydziałów — wydział pracy społecznej, wychowawczej i gospodarstwa kobiecego wiejskiego. Starł się zawsze o najlepsze siły naukowe — toteż kursy przez długie lata kwitnęły i rozwijały się z roku na rok. Były to lata, w których uniwersytet nie przyjmował kobiet w charakterze słuchaczek rzeczywistych — jedyną więc wyższą uczelnią dla kobiet w Polsce były Kursy Baranieckiego.

Po 54 latach istnienia Kursy mają być zamknięte. Gminie miasta Krakowa ciąży obowiązek prowadzenia uczelni — robią oszczędność. Frekwencja spada, gdyż kursy nie mają praw państwowych — Dyrektor Rostafiński, znuzony wiekiem i chorobą składa dyrekturę — a niema nikogo, kto by się tą instytucją zainteresował szczerze. — Liczne zbiory i doskonała biblioteka pójda w rozsypkę.

Kursy nie dają praw, — tkwiąc jeszcze w dawnych ramach organizacyjnych i oparte na dawnych programach, stały się przeżytkiem. Szkoda jednak, by instytucja, posiadająca piękną tradycję i duże zasługi została przekreślona. Trzeba tylko wlać w nią nową myśl — przystosować do nowych warunków życia. — Powstała inicjatywa, by Kursy przekształcić na szkołę pracy społecznej. Jest to myśl bardzo piękna. Trzeba tylko umiejętnie wprowadzić ją w życie, trzeba tem zainteresować społeczeństwo. Ten obowiązek spoczywa przede wszystkim na dawnych wychowankach Kursów im. Baranieckiego.

Podajemy poniżej odezwę Komitetu, zorganizowanego przez dawne słuchaczki Kursów im. Baranieckiego.

(Przyp. Red.)

ODEZWA.

Wyższe kursy dla kobiet Im. Baranieckiego po 53 latach istnienia mają być zamknięte. Wiadomość ta odbije się boleśnie w sercach i umysłach nie tylko byłych uczennic, ale wszystkich kobiet polskich, gdyż kursy te miały olbrzymie znaczenie naukowe, kulturalne a przede wszystkim patriotyczne. W najcięższych chwilach życia narodowego były ogniskiem wiedzy rodzimej dla całych zastępów z tych dzielnic, gdzie wykształcenie wyższe w języku polskim było niemożliwe.

Powołana do życia i prowadzona przez długie lata ofiarnością i poświęceniem założyciela Dr. Adryana Baranieckiego, ta pierwsza wyższa uczelnia dla kobiet w Polsce była w swoim czasie dziełem prawdziwego postępu i myśli obywatelskiej i ważnym krokiem naprzód w rozwoju kobiety polskiej.

Zawdzięczamy jej bardzo wiele, wdzięczność naszą gorącą i głęboką chcemy i potrzebujemy wyrazić publicznie i dla tego zawiązujemy komitet i zapraszamy wszystkie dawne uczennice i wszystkie kobiety polskie na zjazd mający się odbyć w Krakowie w końcu września dla uczczenia zasług Dr. A. Baranieckiego, a zarazem dla zastanowienia się, czyby się nie dało dziś w Ojczyźnie Niepodległej przeobrazić w nowe środowisko pracy oświatowej i obywatelskiej, zastosowane do zmienionego ducha czasu i nowych wymagań postępu.

Wszelkich objaśnień udziela sekretarjat Komitetu Kraków Karmelicka 32.

- (—) Anna Zakrzewska.
- (—) Jadwiga Konopczyńska.
- (—) Stanisława Dr. Lewkowiczowa.
- (—) Helena Lubomęska.
- (—) Anna Sinkowa.
- (—) Aurelja Szubertowa.
- (—) Zofja Szukiewiczowa.
- (—) Janina Szwarzenberg Czernowa.
- (—) Anna Wilczyńska.

Z TEATRÓW

TEATR LETNI.

„Szydłkretowy Grzebień”. Komedja małżeńska w 3-ach aktach — *Ryszarda Kesslera*. Przekład — *Stefana Turckiego*. Reżyserował — *Emil Chaberski*. Dekoracje — *Sz. Kamińskiego*.

Coraz częściej odnosi się wrażenie — gdy się jest pod rząd na 30 komedjach i farsach w teatrach warszawskich — że tematy komedjowe „małżeńskie” są — na wyczerpaniu! Przyznać należy, że kopalnia była bogata, materiału dostarczyła różnorodnego i obfitującego nawet w całkiem frapujące

niespodzianki ...ale ponieważ na tym świecie wszystko ma swój koniec, więc też niemiłosierny los zrzucił, że i potężny kapitał kopalniany tematów komedjowych „małżeńskich” ma się już ku schyłkowi i w nieprzebranej napozór beczce zaczyna przeświecać dno!

Na Jowiszał tyle już wymyślono kombinacji w alkwie, w buduarze, w numerach hotelu i t. d. i t. d., że trzeba coraz częściej uciekać się do karkołomnych pomysłów, by z tego kończącego się szybu wyciągnąć choć trochę kruszcu, który zabawi publiczność na szczęście (dla zarządu teatrów) coraz mniej wymagając. To też pan Ryszard Kessler musiał sięgnąć po taki właśnie odświeżający pomysł, by rozśmieszyć publiczność na sobotniej premierze w teatrze Letnim. Oto wniósł w widza i to całkiem zrećnię, że mąż w ciemnym pokoju nie poznaje własnej żony i bierze ją za swą damę serca — której wyznaczył bezceremonjalne rendez-vous. Spędza z żoną niezapomniane słodkie pół godziny w łowym zdradliwym półmroku i rzecz oczywista pada ofiarą tysiąca komicznych sytuacji — w które wprowadza go własna żona, wykorzystująca „zdradę” męża, której wszak była naocznym świadkiem. Ta sytuacja pozwała jej chwycić w ręce pierwsze skrzypce w małżeństwie, to znaczy — (według p. Kesslera) może teraz wypompować z męża, jak najwięcej gotówki na stroje i luksusową willę. Rzecz oczywista, wszystko doskonale się kończy — ku ogólnemu zadowoleniu.

Bardzo to wszystko pięknie i dobrze — trzeba tylko uwierzyć w ów półmrok, w którym mąż nie poznaje żony! Mój Boże! Jeżeli jednak można uwierzyć w takie właśnie nieporozumienia w teatrze Calderona, dla czegoż nie moglibyśmy tej wiary użyć na chwilę i panu Kesslerowi. Przecież jesteśmy ludźmi dobrej woli, tembardziej, że sztuka była grana dobrze i wesoło. Szczególnie dużo wdzięku i życia wniosła, jako zdradzona żona — pani Marja Gorczyńska, która ładnie wyglądała w roli dowcipnej i mściwej połowicy. Szkoda tylko, że czuła się w obowiązku pokazywać nam swoje nóżki do kolan lub wyżej kolan — przecież publiczność wróciła właśnie z nad morza i z nad różnych innych „wód” i jest par bleu! dość wymagająca — więc jej też — tak bardzo łatwo zaimponować nie można. „Zdradzającego” męża grał z humorem p. Wł. Walter. Reszta zespołu wniosła dużo werwy i jaknajlepsze chęci.

p-a.



OBIADY NA MASZYNCIE.

Obiad I

Zupa jarzynowa ze śmietaną. Kotlety baranie z ryżem. Kompot z jabłek.

Na trzy osoby wziąć trzy duże lub sześć mniejszych jabłek, obrać z nich cienko skórkę, pokrajać na cztery lub sześć części. Pół szklanki cukru zagotować z półtora szklanką wody, na gotującą wrzucić jabłka i kawałek cynamonu lub dwa goździki, pogotować trzy do pięciu minut, wylać na salaterkę i ostudzić. Najlepiej kompot do obiadu zrobić z rana. Jabłka brać kwaśnego gatunku, słodkie jabłka są niesmaczne w kompocie i twarde. Następnie należy ugotować ryż. Trzy szklanki wody zagotować, na wrzącą wsypać trzy ćwierci szklanki ryżu, dodać łyżkę masła lub szmalcu, zagotować parę razy, osolic, wymieszać, — ogień zmniejszyć, rondel przykryć i dusić wolniutko kwadrans, — gdyby ryż nie był jeszcze zupełnie miękki nic nie szkodzi, dojdzie w gnieździe, zanim reszta obiadu się zrobi, — odstawić ryż do gniazda. Na zupełne dwie marchewki, pietruszkę, kawałek selera i pół pora oczyścić, pokrajać w drobne paski, zalać litrem i ćwierć wody, dodać pół listka, trzy ziarenka pieprzu, zagotować, zszumować, osolic, gotować, aż jarzynki zaczną mięknąć, wtedy dodać pół kilo oczyszczonych i pokrajanych w talarki kartofli, gdy kartofle zmiękną, włożyć półkwaterek śmietany i łyżeczkę siekanego koperku i rondel wstawić w gniazdo. Kupując kotlety baranie, należy sześć sztuk kazać sobie wykrajać i zbić mocno w sklepie, osolic je i popieprzyć nieco. Na rozpalonej patelni rozpuścić łyżeczkę masła, na rumiane położyć kotlety i osmażyć je mocno z obu stron, ogień zmniejszyć, patelnię przykryć talerzem, trzymać tak minut pięć, aby kotlety doszły. Ryż wyłożyć na talerz lub półmisek, na nim ułożyć kotlety, w patelnię wlać parę łyżek wody, zagotować i sosikiem, który się uformuje polać ryż, przykryć gorącą patelnią. Zupę podawać natychmiast, aby kotlety baranie nie wystygły.

Obiad II

Kartoflanka ze słoniną. Grzyby duszone w śmietanie. Kremik z mannej kaszy.

Z rana, w dzień obiadu, zagotować dwie szklanki mleka i pół szklanki wody, wsypać na to pół szklanki ładnej mannej kaszy, zagotować, ogień zmniejszyć, przykryć pokrywą, trzymać tak na wolnym ogniu, aż kasza rozbrzęknie i zgęstnieje. Tymczasem utłuc pół szklanki cukru z kawałkiem wanilii. Gdy kasza zupełnie gęsta, wsypać cukier, wymieszać i wyłożyć w foremkę lub salaterkę wylaną wodą i wysypaną cukrem, — zastudzić zupełnie, przed obiadem dać się łatwo wyrzucić na talerz. Jeżeli kto rozporządza trochę soku lub konfitur, może podać je do kremiku, ale i sam bez tego dodatku, będzie smaczny.



Na kartoflankę pół kilo kartofli obrać i wstawić w półtora litra wody z jedną dużą, obraną cebulą i kawałkiem pietruszki, listkiem i paru ziarnkami pieprzu, gdy kartofle się rozgotują, przetrzeć wszystko przez sito lub druzzlak, wlać w rondel napowrót. — Dwa łyły słoniny drobno pokrajanej roztopić na patelni, wlać w kartoflankę, zagotować raz i wstawić w gniazdo. Pół kilo grzybów prawdziwych, podosiniaków lub młodych kozaków (batek) oczyścić starannie nożem i wilgotną ściereczką, (grzybów lepiej nie myć, gdyż przez to smak i aromat traca, naturalnie, jeżeli są z ziemią, nie dadzą się inaczej oczyścić, niż zapomocą płukania), — pokrajać w paski. W rondlu rozpuścić łyżkę masła, zasmażyć w nim drobno pokrajaną cebulę, wsypać grzyby, osolić, przykryć pokrywą, gdy puszcza sok, dusić, często mieszając, aż się wysadza, t. j. sok się wygotuje, wlać w nie łyżkę mąki pszennej, rozbitej w szklance wody, nieco pieprzu tłuczonego, półkwaterek śmietany dać się dobrze zagotować, przykryć pokrywą, ogień zgasić i podawać zupę. Grzyby dobrze ciepło trzymają i nie ostygną, zanim się zje zupę.

Pani Elżbieta

KONFITURY.

(dokończenie)

Pomidory zielone. Drobne, zupełnie jeszcze twarde i zielone pomidory, przekrajając w poprzek na półowki, ziarnka łyżeczką usunąć.

Na funt pomidorów wziąć półtora funta cukru, z połowy zrobić syrop, zalać nim pomidory, po 24 godzinach syrop odlać, przesmażyć z połową pozostałego cukru, powtórzyć zalewanie, po 24 następnych godzinach zrobić to po raz trzeci, poczem smażyć pomidory, zachowując wszelkie ostrożności, wskazane przy śliwkach, morelach i innych delikatnych owocach. Benzoes się dodaje, jak zwykle, pastylkę na kilo konfitur. Studzić koniecznie w miedniczce, aby zachowały ładny, zielony kolor. Pomidory takie, dla oryginalnego kształtu i koloru cenne są do dekorowania tortów i innych ciast Wielkonočných.

Pomidory dojrzałe. Specjalnie na żądanie czytelniczek, wyrażone już parę razy, podaję tę konfiturę. Smażyłam je raz tylko, nie podobały mi się wcale, mimo to, że pomidory w każdej innej postaci, bardzo lubię. Otóż duże pomidory, mięsistego gatunku, kraję się w grube na palec plastry, usuwa z nich jaknajstaranniej dające niemiłą gorzyc ziarnka. Pali się syrop z funta cukru na funt pomidorów, na ulep wrzuca pomidory

i smaży, aż się masa stanie przezroczystą, — mówię masa, bo niema sposobu usmażyć pomidorów nie rozgotowując ich na marmeladę. Kiedy robiłam tę próbę, benzoes nie był znany, dla trwałości jednak należy go dodać. Konfiturę pomidorową, jak każdą marmeladę, należy jeszcze ciepłą składać w słoje, zawiązywać zaś te słoje dopiero po zupełnem wystygnięciu.

Ananas. Uważany, dla wybornego smaku i aromatu za najwykwintniejszą konfiturę, powinien znaleźć miejsce w każdej dobrze zaopatrzonej spiżarni. Na konfiturę można używać owoców świeżych, w braku ich ostatecznie konserwy i ananase w puszkach, — które niestety, mają znacznie mniej aromatu. Zwykły sposób smażenia ananasa jest następujący:

Na funt oczyszczonego z zewnętrznych łupinek i pokrajanego w cienkie plastry ananasa bierze się 2½ do 3 funtów cukru, a to, ażeby mieć jaknajwięcej pożytecznego syropu. Łupinki, opłukane, zagotowuje się w wodzie, gdyż one właściwie mają w sobie dużo zapachu, na tej wodzie, biorąc szklanek jej na funt cukru, robi się ulep, na wrzący kładzie ananas i odrazu wysmaża do przezroczystości na bardzo wolnym ogniu. Ananasowe konfitury wraz z miedniczką najlepiej odrazu wynieść na lód, aby jaknajprędzej ostygły i jaknajwięcej aromatu zachowały. Benzoesu dodaje się, jak zwykle, pastylkę na kilo, rozpuszczając go w łyżce gotowanej wody i dolewając do gotowej, gorącej konserwy. Jest jeszcze inny sposób przyrządzania konfitury z ananasu, — oczyszczony i pokrajany ananas układa się w garnku ogniotrwałym, przesypując trzema funtami cukru tłuczonego (nie piasku) na funt ananasa. Gernek się zakrywa pokrywą, zamazuje ciastem i wstawia na całą noc w gorący piec po chlebie, poczem tak nietknięty przechowuje w suchej spiżarni. Po otarciu garnka należy go w ciągu paru tygodni umyć, gdyż nie są takie konfitury tak trwałe, jak smażone zwykłym sposobem, smak jednak i aromat mają nadzwyczajny.

Żórawiny. Dają wyborną konfiturę do herbaty, dla chorych na różne gorączki i rekonwalescentów szczególniej pożądana.

Na funt starannie przebranych, dobrze przemarzniętych żórawin, funt cukru. Na ulep pół szklanki wody na funt cukru, gdyż żórawiny mają dużo własnego soku, — na wrzący wrzucić żórawiny i kawałtko wanilji. Smażyć tak długo, aż kropla syropu nalana na spodek nie zacznie się ścinać na galaretę. Benzoes do żórawin jest zbyteczny. Wlewać je jeszcze ciepłe wprost do słoików, gdzie się zgalaretują. Żórawiny są na targu zimę całą, nie warto więc ich smażyć na zapas, chyba pod wiosnę, gdy inne konfitury już są na wyczerpaniu.

Kasztany. Kasztany należy ugotować w łupinkach, obrać z wierzchnich, grubych i wewnętrznych cienkich łupin, ułożyć w porcelanowy i kamienny garnek, odrazu w ten, w którym mają być przechowywane.

Na funt kasztanów wziąć funt cukru, z połowy ugotować bardzo gęsty syrop, dodając doń spory kawałek wanilji, ostudzonym zalać kasztany i trzymać w nim dwie doby, syrop zlać, dodać połowę pozostałego cukru, przegotować, letnim zalać kasztany i trzymać ponownie dwa dni, — nakoniec dodać resztę cukru, ugotować gęsty syrop, dodać na kilo konfitur pastylkę benzoesu, rozpuszczoną w łyżce wody, i gorącym syropem zalać kasztany. Zanim dobrze nie ostygnie nie zawiązywać słoja, — gdy zupełnie zimny obwiązać pergaminem i przechowywać w suchym miejscu. Po paru tygodniach, gdyby syrop odwodniał, dodać jeszcze cukru i przesmażyć raz jeszcze, — samych kasztanów nie smażyć, gdyż stwardnieją. Kto chce mieć więcej ulepu, może brać półtora funta cukru na funt kasztanów.

Pomarańcze. Dawniej smażenie pomarańcz było obrzędkiem niesłychanie skomplikowanym, moczono je, gotowano do miękkości, studzono między poduszkami, ech, ech, a rezultat był zupełnie ten sam, co dzisiaj, kiedy się smaży zwykłe pomarańcze, bez żadnych, uprzednich przygotowań.

Wybrać pomarańcze o grubej skórce, pokrajać na cienkie plastry, odrzucić bardzo starannie pestki, które dają gorzyc. Na funt pomarańcz bierze się półtora do dwóch funtów cukru, robi gęsty ulep, na wrzący wrzuca pomarańcze wraz z sokiem, który z nich wyciekł, zagotowuje na silnym ogniu, poczem się je smaży na bardzo wolnym, odstawiając razy parę na minut dziesięć od ognia, aby skórki się lepiej napoiły syropem. Gdy skórki przezroczyste a syrop gęstnieje, dodać zwykłą proporcję benzoesu i odstawić. Po zupełnem wystygnięciu składa się w słoje i przechowuje jak zwykłe konfitury.

Skórki pomarańczowe. Dobre do herbaty, ale głównie cenne jako dodatek do ciast, kompotów, legumin i t. p. Należy je smażyć wtedy, gdy po większem przyjęciu pozostanie ich odrazu większa ilość. Skórki moczyc w wodzie przez 24 godziny, pokrajać w drobne paski. Na funt skórek funt cukru. Ugotować syrop, biorąc szklanek wody na funt cukru, dodać łyżeczkę soli cytrynowej (kwasku) wrzucić skórki i smażyć na bardzo wolnym ogniu, aż skórki staną się przezroczyste. Benzoes nie jest konieczny. Letnie jeszcze składać w nieduże słoiki, gdy zupełnie ostygną, słoiki zawiązać.

DORAŻNA POMOC Lekarzy Specjalistów w Warszawie

„AUXILIUM”

Czynna w dzień i w nocy bez przerwy

tel. 403-50.

gabinetach lekarzy

222 Biuro Centrali ul. Żórawia 33.

Udziela niezwłocznej pomocy lekarskiej przez lekarzy wymaganej specjalności w mieszkaniu chorych lub w KONSYLJA

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza apetyt i wzmacnia organizm.

Kooperacja Pszczelarzy

przy NACZELNYM ZWIĄZKU Tow. pszczelarskich
„BARC” w Warszawie, ul. Miodowa 14,
w podwórzu, tel. 62-38.

KÓSKKI słomiane z nadstawkami i deskami ogrodowymi.

ULE różnych systemów. MIODARKI PODKURZACZE,

KRATÓWKI i różne przybory pasieczne.

WĘŻ sztuczna z czystego pszczelego wosku za gotówkę i wymienia za 1/3 wosku.

Kupuje miód, wosk i przyjmuje do komisowej sprzedaży.

Mandarynki. Owoce te, mające na świeżo nadzwyczajny aromat, po usmażeniu dają dużo gorszą od pomarańczowej konfiturę. Mandarynki się obiera, skórkę kraje w dosyć grube paski, sam owoc dzieli na części, starannie z nich usuwa ziarnka. Na funt mandarynek półtora funta cukru, i na funt cukru pół szklanki wody. Smaży się mandarynki dalej jak pomarańcze, zachowując też same ostrożności, — dodaje jak zwykle benzoës i przechowuje dobrze ostudzone.

Cytryny. Wybrać cytryny o grubej skórce, ugotować w wodzie do zupełnej miękkości. Wyjąć z wody, pokrajać w plastry, lub wzdłuż na wąskie części jak się rozbiiera pomarańcze, ziarnka starannie odrzucić. Na funt cytryn bierze się dwa funty cukru, dalej się postępuje zupełnie jak z pomarańczami. Benzoës do tej konfitury niezbędny, gdyż ma skłonność do fermentowania.

Marchew. Konfitura dla amatorów. Czerwona, grubą marchew zagotować razy parę w wodzie, gdy nieco zmięknie, pokrawać z niej kulki, jakie się robi z kartofli do smażenia, lub też pokrawać nożem karbowanym w ładne kawałki. Osypać grubo utartym imbirem, potrzymać tak noc całą, poczem imbir splukać, — wziąć funt cukru na funt marchwi i po ugotowaniu syropu, smażyć w nim marchew, aż się stanie przezroczysta. Ostudzoną układać w słoje. Żydzi specjalnie tę konfiturę jadają, — w takiż sam sposób smażą też rzepę na konfiturę.

Banany. Obracć banany ze skórki, ułożyć w całku w salaterkę lub wazę, zalać zimnym ulepem, zrobionym ze szklanki wody na funt cukru. Nazajutrz ulep zlać, dodać cukru, przesmażyć, letnim zalać banany. Powtarzać to trzy do czterech razy, ostatni raz banany włożyć na gęsty, wrzący syrop i na bardzo wolnym ogniu dosmażyć, — to jest smażyć, aż do chwili, gdy się staną przezroczyste. Gdy banany nie są przejrzyste, wychodzi z nich ładna, oryginalna, chociaż nieco mdła konfitura. Z dojrzałych, mączystych nie się zrobić nie da. Cukru się bierze półtora funta na funt bananów. Benzoës należy dodawać koniecznie, gdyż łatwo fermentują.

Pani Elżbieta.

483. Płaszczyc z peleryną dla dziewczynki od lat 8 do 12 z gładkiej wełny. Poddicie peleryny, kołnierz i pasek w jaśniejszym tonie.

484. Paltocik dla chłopczyka od lat 4 do 7 z materiału w kratę, wykończony gładkim materiałem.

485. Kostjum jesienny z miękkiej wełny kreciego koloru. Pasek haftowany. Kołnierz skunksowy.

486. Bluzka z rezedowej trykotyny, wyszywana dużymi ścięgami sztucznym jedwabiem w kilku żywych kolorach.

487. Bluzka z białego surowego jedwabiu. Krawat w barwny deseń.

488. Kostjum jesienny, przybrany wąsko ciętym futrem.

489. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 7. Majtki granatowe, bluzka biała z surowego jedwabiu

490. Paltocik dla dziewczynki od lat 6 do 12 z zamszu granatowego. Guziki rogowe.

491. Paltocik dla chłopczyka od lat 4 do 7 z brązowej wełny, zapinany na duże rogowe guziki.

492. Suknia z granatowego szewiotu z wysokim kołnierzem, przybrana plisami z tegoż materiału i guzikami.

493. Bluzka—Kaftanik z miękkiej wełny koloru fox-trott. Kołnierz białym wykładany.

494. Bluzka z deseniowego fularu, przybrana jedwabiem w jednym kolorze.

495. Suknia z granatowej wełny, przybrana czarną taśmą.

496. Wzór na serwetkę — haft richelieu. Wielkość 25x22 cnt.

497. Wzór na laufer, haft richelieu. Wielkość 120x42 cnt.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu“.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

ULATWIACZ KROJU

zastępuje wszystkie metody i systemy, dla umiejących krój ułatwia obliczenie niezawodne; nieznający kroju mogą śmiało krajać wszystkie ubrania od 56 do 120 i przytem ZDOBYWAJĄ TEORJĘ KROJU bez specjalnych i drogich kursów. Cena „PRAKTYKKROJU“ 25 zł. (z dodatkiem winkla); z przesyłką 30 zł.

ADRES „GAZETA KRAWIECKA“ KRAKÓW

253

PRENUMERATA „BLUSZCZU“

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.
kwartalnie 12 „ — „
miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.
zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.
1/2 „ 51 „ 75 „
1/4 „ 29 „ 25 „
1/8 „ 15 „ 75 „
1/16 „ 9 „ — „
1/24 „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na 1/4 część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,

Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

TABELA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniczać na blankietach czekowych P. K. O.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 38

479. Sukienka dla dziewczynki od lat 9 do 14 z ciemnego aksamitu, przybrana jaśniejszym jedwabiem.

480. Palto z brązowego zamszu, przybrane futrem.

481. Suknia z jedwabiu popielatego, wykończona kolorowym haftem.

482. Fartuszek dla dziewczynki od lat 5 do 7 z czarnej alpagi.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“ — Długa 9 i 1. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK“ Nowy-Świat 8-10.